

Nr 2 (111) – B Rok 19

Marzec-Kwiecień 2013



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia *Волення з Волині*

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Волення з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold Józef Kowalów.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,

ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,

ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1

35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Wydawca wersji polskojęzycznej:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,

skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

**Dofinansowano przez Konsulat
Generalny RP w Łucku ze środków
Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Rzeczypospolitej Polskiej.**

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek “Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~ ~

“Wołyński Słownik Biograficzny”:

<http://woylinskisloownikbiograficzny.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<http://www.facebook.com/pages/Wolanie-z-Wolynia-Volanna-z-Volini/231349735145>



SPIS TREŚCI

- s. 3-4: Abp Mieczysław MOKRZYCKI, *Habemus Papam*
s. 5: Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *Chrystus Zmartwychwstał!*
Prawdziwie Zmartwychwstał!
s. 6: Konstanty CZAWAGA, *Proces beatyfikacyjny*
o. Ludwika Wrodarczyka – ofiary Rzezi Wołyńskiej
s. 7: *Oświadczenie Rzymskokatolickich Biskupów Ukrainy*
w sprawie przygotowań do obchodów 70. rocznicy
Tragedii Wołyńskiej
s. 8-9: *Odezwa Wołyńskiej Rady Kościołów nt. tragicznych wydarzeń*
z 1943 r. na Wołyniu
s. 9-10: Bp Stanisław SZYROKORADIUK, *Oreądzie*
Wołyńskiej Rady Kościołów zostało zmanipulowane
s. 11-12: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Milczenie*
s. 13: Maria KIELAR-CZAPLA, *Ojca Ludwika Wrodarczyka OMI*
ponadczasowe wartości...
s. 14: O. Wojciech SURÓWKA OP, *Budowanie kościoła*
s. 15-20: Marek A. KOPROWSKI, *Franciszkanie nad Dnieprem*
s. 21-22: O. Mariusz WOŹNIAK OP, *Dotyk anioła*
s. 23-24: Ewa SIEMASZKO, *Wielkanoc 1943 r. na Wołyniu*
s. 25-30: Józef Ignacy KRASZEWSKI, *Tatarzy na weselu*
s. 31: *Nihil obstat Stolicy Apostolskiej w sprawie rozpoczęcia*
procesu beatyfikacyjnego biskupa Adolfa Piotra Szelągka
s. 32-37: Ksawery PRUSZYŃSKI, *„Był to niegdyś kraj bogaty...”*
s. 38-40: Jan BUSZCZ, *O dialogu w sprawie wołyńskiej*
s. 41-43: Paweł LEWCZUK, *Michał Czajkowski – szlachcic z Wołynia*
s. 44: Ryszard HUBICKI, *Niepospolity świadek Chrystusa*
s. 45: *„Powieść minionych lat” o początkach panowania*
Włodzimierza Monomacha
s. 46-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Aleksander Benedykt Wyhowski*
1703-1714
- 

З життя Коścioła - З життя Церкви

HABEMUS PAPAM

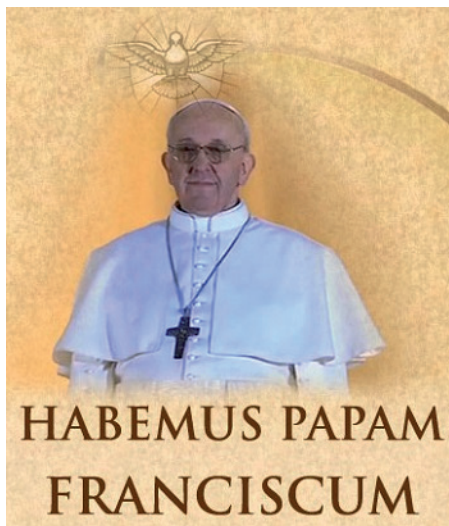
Umiłowani bracia
w kapłaństwie Chrystusowym!
Osoby życia konsekrowanego!
Kochani bracia i siostry!

Habemus papam – kolejny raz w historii Kościoła, kardynał-protodiakon, oznajmił wielką radość – mamy papieża, Franciszka I. Środa, 13 marca 2013 r., wpisała się na trwałe w dzieje każdego wierzącego człowieka, który w Kościele katolickim, odnalazł drogę świętości życia. Ten dzień okazał się kolejnym zwycięstwem Tego, który został posłany Kościołowi jako Duch Prawdy i Poczyszciciel. W kontekście tego wydarzenia, jakże dobitnie brzmią słowa Proroka Izajasza, który w 55 rozdziale zapisał: „*Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – mówi Pana. Bo jak niebiosy górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi*” (Iz 55,8-9).

Widzieliśmy, z jak wielkim zainteresowaniem, komentatorzy życia politycznego podejmowali w ostatnich dniach dyskusję, często wyznaczając nie tylko osobę, która miałaby pełnić funkcję papieża, ale i określając program, który miał być jedynie słuszną drogą dla Kościoła. Oni wszyscy zapomnieli jednak, że Kościół to instytucja Boża, kierowana mocą i mądrością Boga. Dzisiaj widzimy, jak bardzo Bóg zawstydził tych, którzy zapomnieli o Jego myśli i drodze.

Kochani moi!

Uczestnicząc w radości Kościoła, pragniemy przywołać jedne z pierwszych słów nowego papieża Franciszka I, który



ukazując się w loggi bazyliki św. Piotra powiedział: „*Rozpocznijmy razem tę drogę braterstwa, miłości, wzajemnego zaufania*”. To zaproszenie skierowane zostało do nas wszystkich, bez wyjątku. Szczerym sercem i ochoczym duchem podejmiemy to wezwanie i niech ono nie pozostanie bez naszej odpowiedzi. Braterstwo, miłość i zaufanie, niech zgromadzą nas na dziękczynnej modlitwie, za Głowę Kościoła – papieża Franciszka I. Niech będzie ono odpowiedzią na słowa Ojca Świętego, który mówił: „*Przed błogosławieństwem proszę was o modlitwę do Pana, prosząc o błogosławieństwo dla mnie*”.

Jako wspólnota Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie, podejmiemy pełną wdzięczności i przepełnioną duchem radości modlitwę, w intencji papieża. Wiemy, że w uroczystość św. Józefa, o



**Metropolita lwowski
abp Mieczysław Mokrzycki**

Fot. www.info.wiara.pl

godz. 10.30 (czasu ukraińskiego), będzie miała miejsce inauguracja pontyfikatu. Zewnętrznym znakiem jedności z Ojcem Świętym niech będą bijące o tej godzinie dzwony w naszych kościołach, a w niedzielę 24 marca 2013 r., po głównej mszy św. przed wystawionym Najświętszym Sakramentem, odśpiewajmy hymn „Ciebie Boga wystawiamy”. Nowy papież przyjął imię Franciszek i tym samym obrał sobie za patrona Biedaczynę z Asyżu, św. Franciszka. Wybór ten jest dla nas drogowskazem, abyśmy jak św. Franciszek głosili światu pełną pokory i prostoty drogę pokoju i dobra. Dlatego do dziękczynnego śpiewu „Te Deum”, dołączmy jeszcze modlitwę franciszkańską, którą kończymy nasze słowo, polecając Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu posługę papieża Franciszka I:

*O Panie, uczyni z nas narzędzia Twego
pokoju;
abyśmy siali miłość, tam gdzie panuje
nienawiść;
wybaczenie, tam, gdzie panuje krzywda,
jedność, tam gdzie panuje zwątpienie;*

*nadzieję, tam gdzie panuje rozpacz;
światło, tam gdzie panuje mrok;
radość, tam gdzie panuje smutek.
Spraw, abyśmy mogli
nie tyle szukać pociechy,
co pociechę dawać;
nie tyle szukać zrozumienia, co rozumieć;
nie tyle szukać miłości, co kochać;
albowiem dając – otrzymujemy;
wybacząc – zyskujemy przebaczenie;
a umierając, rodzimy się do wiecznego
życia.*

*Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego.
Amen.*

Wraz z całym Episkopatem,
z serca wszystkim błogosławię

**✠ Mieczysław Mokrzycki
metropolita lwowski
przewodniczący
Konferencji Episkopatu Ukrainy**

Lwów, A.D. 2013



Жѣзченїя Вїєлканосне - Великоднї побажаннїя

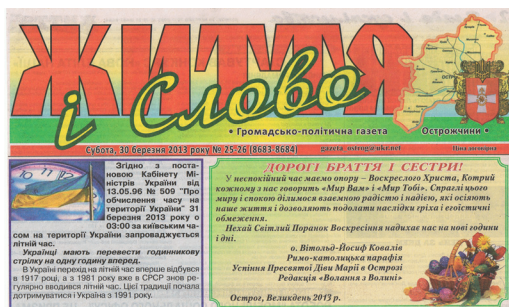
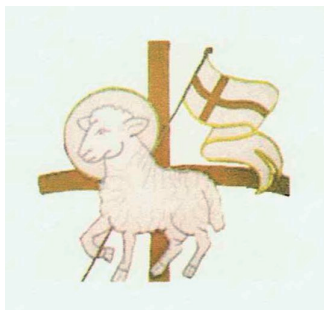
CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ! PRAWDZIWIE ZMARTWYCHWSTAŁ!

W niespokojny czas mamy oporę – Zmartwychwstałego Chrystusa, Który każdemu z nas mówi „Pokój Wam” i „Pokój Tobie”. Spragnieni tego pokoju i spokoju dzielimy się wzajemną radością i nadzieją, które oświecają nasze życie i pozwalają podolać skutki grzechu i egoistyczne ograniczenia.

Niech Jasny Poranek Zmartwychwstania będzie źródłem natchnienia na nowe godziny i dni.

ks. Witold-Yosif Kovaliv
Rzymskokatolicka parafia pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu
Redakcja «Во́тання з Во́лїня»

Ostróg, Wielkanoc 2013 r.



У неспокійний час маємо опору – Воскреслого Христа, Котрий кожному з нас говорить «Мир Вам» і «Мир Тобі». Спраглі цього миру і спокою ділимося взаємною радістю і надією, які осіають наше життя і дозволяють подолати наслідки гріха і егоїстичні обмеження.

Нехай Світлий Поранок Воскресіння надихає нас на нові години і дні.

о. Вітольд-Йосиф Ковалів
Римо-католицька парафія Успїння
Пресвятої Дїви Марїї в Острозі
Редакція «Во́лання з Во́лїні»

Острїг, Великдень 2013 р.

Ж життя Церкви в Україні - З життя Церкви в Україні

PROCES BEATYFIKACYJNY O. LUDWIKA WRODARCZYKA – OFIARY RZEZI WOŁYŃSKIEJ

W ramach obchodów 70. rocznicy tragedii wołyńskiej konferencja rzymskokatolickich biskupów Ukrainy poparła podjęcie starań o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego o. Ludwika Wrodarczyka (1907-1943) – jednej z ofiar mordów. Decyzja w tej sprawie zapadła na 41. plenarnym posiedzeniu Episkopatu w Berdyczowie w dniach 16-18 kwietnia.

Ojciec Wrodarczyk był gorliwym duszpasterzem ze Zgromadzenia Oblatów Maryi Niepokalanej. (OMI) i zginął w bestialski sposób w grudniu 1943 roku. Od kilku lat Instytut Pamięci Narodowej – oddział w Lublinie, Centrum Ucrainicum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” organizują w Polsce i na Ukrainie wystawę „Niedokończone msze wołyńskie” – dotyczącą martyrologium duchowieństwa wołyńskiego, ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich w czasie II wojny światowej. W tym roku zostanie ona wystawiona 14 lipca w katedrze łacińskiej w Lucku. Znajdzie się tam również odnalezione w archiwum zdjęcie ojca oblata Ludwika Wrodarczyka.

Ludwik Wrodarczyk urodził się 25 sierpnia 1907 roku w Radzionkowie na Górnym Śląsku w wielodzietnej rodzinie górniczej. W sierpniu 1926 r. rozpoczął nowicjat w Zgromadzeniu Misjonarzy Oblatów Najświętszej Maryi Niepokalanej (OMI). Pierwsze śluby zakonne złożył w Markowicach na Kujawach w 1927 roku. Po studiach w oblackim seminarium duchownym w Obrze przyjął

10 czerwca 1933 r. święcenia kapłańskie. Pierwszą jego placówką było sanktuarium maryjne w Kodniu nad Bugiem. Od początku lipca 1939 r. pełnił posługę na Wołyniu. Mimo trudnych lat wojny owocnie pracował, prowadził duszpasterstwo w nowo utworzonej parafii w Okopach. Odnotowano, że młody zakonnik, znając właściwości lecznicze ziół, potrafił nieść ulgę w chorobach swoim parafianom i mieszkańcom wiosek ukraińskich. W czasie okupacji niemieckiej nie bał się pomagać Żydom. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie nadał kapłanowi pośmiertnie medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Zdaniem naukowców z Lublina – dr. Leona Popka i dr. Marii Dębowskiej, autorów biogramu o męznym oblacie – w nocy z 6 na 7 grudnia 1943 r., gdy w obawie przed napadem UPA ludność polska w Okopach uciekła do lasu, ks. Wrodarczyk pozostał w kościele. Tam znaleźli go oprawcy i doprowadzili do ukraińskiej wsi Karpilówka. Według jednego z najbardziej wiarygodnych ustaleń po okrutnych torturach ks. Ludwika „nagiego wyrzucono przed dom na śnieg i z rozrąbanej piersi kat wyrwał mu serce”.

W setną rocznicę urodzin o. Ludwika Wrodarczyka w miejscu jego śmierci ojcowie oblaci z Polski postawili krzyż. W archidiecezji katowickiej rozpoczął się wstępny proces beatyfikacyjny o. Ludwika Wrodarczyka.

Konstanty Czawaga



Z życia Kościoła na Ukrainie - З життя Церкви в Україні

OŚWIADCZENIE RZYMSKOKATOLICKICH BISKUPÓW UKRAINY W SPRAWIE PRZYGOTOWAŃ DO OBCHODÓW 70. ROCZNICY TRAGEDII WOŁYŃSKIEJ

Przypadająca w tym roku 70. rocznica Tragedii Wołyńskiej przypomina wszystkim chrześcijanom o fakcie dramatycznych wydarzeń na naszej ziemi. Zginęło wtedy według obliczeń historyków ok. 60-70 tys. mieszkańców Wołynia, głównie Polaków.

Rzymskokatolicki biskupi Ukrainy bardzo chcieli, z racji na ewangeliczną jedność Kościoła, przygotować wspólny list pasterski z biskupami greckokatolickimi. Przez kilka miesięcy były prowadzone wspólne prace. Jednak biskupi Kościoła greckokatolickiego zdecydowali o ogłoszeniu własnego, odrębnego listu na ten temat, nie wyrażając otwartości na merytoryczne propozycje strony rzymskokatolickiej. Widocznie jeszcze za wcześnie.

W związku z powyższym biskupi Kościoła rzymskokatolickiego w Ukrainie, zgromadzeni na Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu w Berdyczowie, podjęli decyzję o ogłoszeniu własnego listu pasterskiego na temat Tragedii Wołyńskiej. Będzie on odczytany w kościołach rzymskokatolickich w Ukrainie 30 czerwca br.



Zaistniała sytuacja nie zmniejsza naszej nadziei, że podczas celebracji i modlitw prześlagałnych za zbrodnie sprzed 70-ciu laty oraz w intencji wszystkich ofiar Tragedii Wołyńskiej, zwłaszcza 14 lipca br. w Łucku, podobnie jak i w innych miejscach, Kościół greckokatolicki stanie razem z Kościołem rzymskokatolickim, jak na uczniów Chrystusa przystało.

*Arcybiskupi i Biskupi
Kościoła rzymskokatolickiego
w Ukrainie*



Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

ODEZWA WOŁYŃSKIEJ RADY KOŚCIOŁÓW NT. TRAGICZNYCH WYDARZEŃ Z 1943 R. NA WOŁYNIU

W tym roku mija 70 lat od jednej z największych tragedii w naszej historii – krwawej konfrontacji pomiędzy Ukraińcami i Polakami na Wołyniu, a także na innych terenach.

Dzisiaj szukanie przyczyn lub sprawców tragicznych wydarzeń, które miały miejsce w historii pomiędzy Ukraińcami i Polakami, jest bardzo trudne i bolesne. My wszyscy powinniśmy oceniać te wydarzenia z żalem i goryczą, w świetle chrześcijańskiego przykazania: miłości Boga i bliźniego. Czas goi tę głęboką ranę, ale nie możemy zapominać o przeszłości, i wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski.

Pozbawienie daru życia podlega potępieniu! Wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi, więc nam wszystkim Stwórca przykazał, „*Nie zabijaj!*”.

Tak, to my jesteśmy ich potomkami i żyjemy na tej ziemi, na którym miały miejsce te wydarzenia. Ale nie mamy prawa osądzać, a tym bardziej karać lub dokonywać zemsty. My jesteśmy przede wszystkim Chryścijanami i to do nas zwracał się Chrystus słowami apostoła Pawła: „*Nikomu nie odpłacajcie złem za zło, ale troszczcie się o dobro dla wszystkich ludzi. Jeśli to możliwe i od was zależy, przebywajcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi. Nie mścicie się za siebie, umiłowani*” (Rzym. 12, 17-19).

Prosimy Najwyższego o przebaczenie zarówno dla prześladowanych, jak i dla prześladowców. Oddajemy hołd tym bohaterom – i Ukraińcom, i Polakom – któ-

rzy ratowali bliźnich, niezależnie od ich narodowości, często z narażeniem własnego życia.

W ostatnich dziesięcioleciach Ukrainę i Polskę jednoczą przyjazne, partnerskie stosunki. Ale nieprzejednanie poszczególnych osób albo i grup może rozpałić przygasłe krzywdy. Nie dajmy wrogowi rodzaju ludzkiego znowu skłócić nasze narody!

Niech historycy nadal z naukową bezstronnością badają te straszne wydarzenia. Ale codzienne dobrosąsiedzkie relacje Polaków i Ukraińców na obu brzegach Bugu niechaj staną się cudownym pomnikiem ofiar tragedii.

Wzywamy i Ukraińców, i Polaków, aby jeszcze raz powiedzieli: „*Przebaccie nam, i my wam wybaczymy, a łańcuch zła, który ciągnie się przez tyle stuleci, rozewniemy dobrymi uczynkami*”. Tak mówmy, tak uczmy nasze dzieci i wnuki, tak działajmy.

A dziś możemy jedynie modlić się i prosić Pana, aby nie dopuścił do podobnych tragicznych wydarzeń w historii naszego kraju.

metropolita **Nifont** – zarządzający
eparchią wołyńską Ukraińskiego
Kościoła Prawosławnego

metropolita **Michail** – zarządzający
eparchią wołyńską Ukraińskiego
Kościoła Prawosławnego
Patriarchatu Kijowskiego

biskup **Wołodymyr** – zarządzający epar-

chią włodzimiersko-wołyńską Ukrainkiej
Kościoła Prawosławnego
biskup **Stanisław Szyrokoradiuk**
– administrator apostolski diecezji łuckiej
Kościoła Rzymskokatolickiego
biskup **Jozafat** – egzarcha łucki Ukrain-
skiego Kościoła Grekokatolickiego
biskup **Mychajło Błyzniuk** – przewodni-
czący Wołyńskiego Zjednoczenia Kościo-
łów Chrześcijan Wiary Ewangelicznej-
Zielonoświątkowców
pastor **Jarosław Troć** – przewodniczący
Wołyńskiego Zjednoczenia Kościołów
Ewangelicznych Chrześcijan-Baptystów

Myron Wowk – starszy pastor Kościołów
Adwentystów Dnia Siódmego
w Obwodzie Wołyńskim

Z ukraińskiego przełożył
Wiesław Tokarczuk

Źródło oryginału:

[http://www.religion.in.ua/news/va-
zhlyvo/21791-kerivniki-najbilshix-
konfesij-volini-prijnyali-zvernennya-
shhodo-70-litty-volinskoyi-tragediyi.
html](http://www.religion.in.ua/news/va-zhlyvo/21791-kerivniki-najbilshix-konfesij-volini-prijnyali-zvernennya-shhodo-70-litty-volinskoyi-tragediyi.html)

ORĘDZIE WOŁYŃSKIEJ RADY KOŚCIOŁÓW

ZOSTAŁO ZMANIPULOWANE

Skandalicznej manipulacji dopu-
ścili się ukraińscy duchowni z Wołynia
umieszczając nazwisko biskupa Szyro-
kardiuka pod tekstem „*orędzia*”, które-
go nie podpisał. W tekście ludobójstwo
dokonane przez UPA zostało nazwane
„*krwawą konfrontacją między Ukraińcami
i Polakami na Wołyniu*”.

Z ks. bp Stanisławem Szyrokoradiu-
kiem administratorem diecezji łuckiej
Kościoła rzymskokatolickiego dla portalu
FRONDA.PL rozmawia Jarosław Wró-
blewski.

– Dostyć zaskakujące, że podpis ks.
biskupa widnieje pod treścią Orędzia
Wołyńskiej Rady Kościołów. Wcześniej
abp Lwowa Mieczysław Mokrzycki
dystansował się wobec takich fałszy-
wie pojednawczych listów ukraińskiej
cerkwi grecko-katolickiej w sprawie 70
rocznicy ludobójstwa na Wołyniu.

– A gdzie to orędzie jest?

Wydrukowała je dziś w ramce na
drugiej stronie „Gazeta Wyborcza”.

– Oni wpisali mnie do takiej rady, ale
nigdy nie byłem na tej radzie.

– Orędzie podpisane zostało przez
duchownych: metropolitę Ukrain-
skiego Kościoła Prawosławnego Pa-
triarchatu Moskiewskiego Nifonta,
metropolitę Mychajła z Ukraińskiego
Kościoła Prawosławnego Patriarchatu
Kijowskiego, biskupów Wołodymyra i
Jozafata z Ukraińskiego Kościoła Gre-
kokatolickiego, administratora diecezji
łuckiej Kościoła rzymskokatolickiego
bpa Stanisława Szyrokoradiuka oraz
dwóch pastorów przedstawicieli Ko-
ścioła protestanckiego...

– Mnie tam nie było na tej radzie. Oni
robią świństwo. Jestem w Kijowie, a oni
zebrali się i napisali. Nawet nie wiedzia-
łem, że przygotowali takie orędzie.

– Czyli ksiądz biskup nie podpisał
tego orędzia?

– Nie, nie byłem też na tej radzie. Był mój zastępca. Mieliśmy konferencję biskupów Ukrainy w Berdyczowie od 15 do 18 kwietnia i tam napisaliśmy list. On się ukáže i proszę go traktować za centralny nasz głos.

– **Zastanowiło mnie to orędzie, bo pokazało, że niespójny jest głos rzymskokatolickich biskupów.**

– Nie wiem co zrobić z tym Orędziem, bo nawet go nie widziałem. To trzeba wyrzucić. Nie jestem ordynariuszem, a tylko administratorem na Wołyniu.

– **Czyli ksiądz dystansuje się od tego listu?**

– Tak. To jest zmanipulowanie i proszę wiedzieć, że ono będzie jeszcze niejedno. Mojego podpisu tam nie ma, chyba że jest podrobiony.

– **Jakie ksiądz ma wobec tej wołyńskiej tragedii zdanie. Trzeba przeprosić Polaków, wyjaśnić prawdę do końca?**

– Oczywiście. Trzeba to nazwać tak, jak to się naprawdę nazywało.

– **W tym orędziu napisano o „krwawej konfrontacji między Ukraińcami i Polakami na Wołyniu”.**

– Nie było konfrontacji to była rzeź wołyńska. Nie było żadnej wojny między Polakami, a nimi. Nie było nienawiści. Oni czyścili to terytorium w brutalny sposób z Polaków. Jednocześnie mordowali Polaków. Nie wykluczam też ofiar z drugiej strony, także ci Ukraińcy, którzy ratowali Polaków byli mordowani. Jest o tym multum źródeł. Trzeba prawidłowo to nazwać. To na pewno nie była konfrontacja. Absolutnie się na to nie zgadzam.

– **Uda się ukazać tą prawdę?**

– Pracuje nad tym wiele komisji. Będą prace naukowe i konferencje na Wołyniu. Będę w nich uczestniczył i mówił prawdę. To orędzie to jest robienie polityki. Na podstawie dokumentów będą pisane konkretne komunikaty jak było naprawdę. Ta

prawda musi być przyznana. Byłem wychowywany w takim czasie, że nie wiedziałem o tym co, się działo na Wołyniu. Nie można więc mówić o wojnie, o konfrontacji narodów, jeśli Ukraina nawet o tym nie wiedziała. To się działo na Wołyniu. Nie można tego teraz spychać na wspólnotową odpowiedzialność. Musi być konkretnie powiedziane, kto jest winny, a nie cały naród ukraiński.

– **W orędziu jest mowa o tym, że „nie mamy prawa osądzać, a tym bardziej karać czy się mścić”. Choć przecież ludobójstwo, straszne zbrodnie należy osądzać...**

– Tu będzie robione dużo manipulacji. Cały lipiec będzie poświęcony nabożeństwom za te niewinne ofiary ludzkiej niewinności.

– **Ksiądz biskup uważa, że Ukraińcy mają świadomość strasznej krzywdy wyrządzonej Polakom?**

– Prości ludzie mają taką świadomość, mają ją starsi ludzie, widziałem to gdy odprowadzałem nabożeństwo na wioskach, mówili „chyba my winni, że to było”. Z drugiej strony, miałem wrażenie, że duchowni grecko-katolicy jak rozmawialiśmy o tym, to albo nic nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć. Łatwiej im mówić o konfrontacji niż przyznać prawdę. To jest bolesne. Nie wiem czemu tak poważnie biorą tę Wołyńską Radę Kościołów, jeśli ona nic nie znaczy.

Rozmawiał
Jarosław Wróblewski

Źródło:

<http://www.frona.pl/a/uwaga-manipulacja-rzymskokatolicki-biskup-nie-podpisal-sie-pod-oredziem-wozynskiej-rady-kosciolow-choc-jest-tam-jego-nazwisko,27829.html>



Wierzyć w Chrystusa - Вірити в Христа

MILCZENIE

Sztuka milczenia

Człowiek tym się różni od zwierząt, że myśli.

Jak to jest z tym myśleniem? Jak to wygląda na co dzień? Przyglądnijmy się życiu dorosłego człowieka.

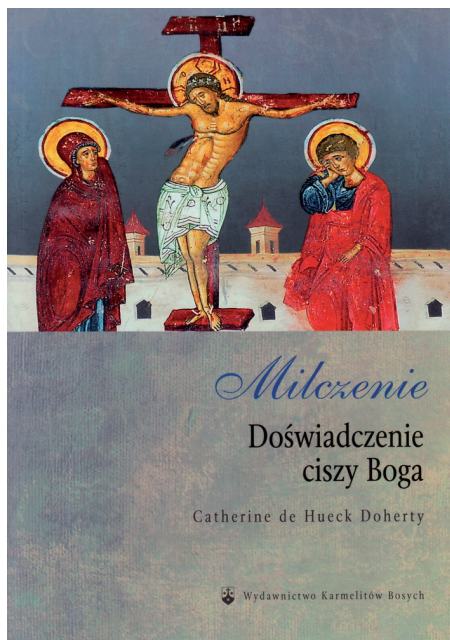
Tak trudno zerwać się rano z łóżka, gdy jeszcze ciąży zmęczenie dnia poprzedniego. A tu trzeba zaczynać z punktu biegiem, wiedząc, że i tak zawsze jest za późno. Biegiem do pracy: do przystanku tramwajowego, autobusowego, trolejbusowego, kolejki. Potem niecierpliwe wyczekiwanie i jazda w ścisiku na nodze sąsiada. W biurze praca wiecznie nieodrobiona, masa spraw zaległych, denerwu-



jąca odpowiedzialność. Po południu: zebranie, spotkanie i sprawunki, kino, teatr, imieniny, telewizja. A wszystko – wydaje się – konieczne, wszystko obowiązkowe. Powrót do domu: gdy jest się kompletnie umęczonym, wyczerpanym, zdenerwowanym. I tak jeszcze jeden dzień dobiega końca. Na to, żeby następnego dnia powtórzyć wszystko na nowo.

Czy człowiek współczesny ma chwile ciszy, skupienia? A może ich już nie chce? Bo wtedy trzeba by myśleć? A myślenie to jest trud. Łatwiej, gdy ktoś inny za niego to zrobi: radio, telewizja, kino, teatr, zebranie, prasa, książka (niewiele, najchętniej kryminał albo „coś lekkiego”), które narzucają swoje zdanie. Ludzie poddają się temu aż do absurdu. Radio jest otwarte większą część dnia, telewizja „leci” do oporu, na wycieczkę górską bierze się radio turystyczne.

Człowiek współczesny, zagoniony, zaabsorbowany obowiązkami, które uważa za konieczne, których niezbędność wmawia w siebie, boi się nawet usłyszeć, że jest inaczej, że można by sobie podarować to i tamto. Kryje się za tym obawa: co zrobić z wolnym czasem. Wybiera więc





rysunki barbara gajowy.net

beznadziejną ucieczkę do wieczora, gdy nieprzypadkiem ze zmęczenia wali się spać. Jest jak bokser, który stracił panowanie nad sobą i bije na oślep, bez celu, nie wybierając. Jeśli taki człowiek znajdzie się nagle w poczekalni, w ogonku, w pociągu, a zapomni wziąć ze sobą książki, nie kupi tygodnika, gazetę wyczyta na drugą stronę, wtedy poczuje się wytrącony z równowagi, nie wie, co ze sobą zrobić. A tu, jak na złość nie ma nikogo, z kim można by pogadać, czyli przelewać z pustego w próżne. Tematy takich rozmów są „nieśmiertelne”: pogoda, trochę sportu, filmy, narzekanie na rozmaite rzeczy.

Zrozum, nie możesz słuchać każdej audycji, czytać każdej książki, która ci wpadnie w ręce, całej gazety, oglądać każdego filmu. Musisz wybierać. A po drugie: słowa są jak para wypuszczona z lokomotywy. Z każdym słowem spada wskazówka na manometrze. Nie mów o byle czym, ot tak, żeby mówić. Umiej żartować, ale nie „wygłupiaj się” bez końca, bo staniesz się pusty jak dzban, wyjałowiesz. A gdy już mówisz, panuj nad swoją mową – panuj nad sobą. Czy tak jest, zasygnalizuje ci używanie słów wulgarnych. Twoja mowa nie jest czymś oderwanym od twojej osobowości. Wprost przeciwnie: jest jej wyrazem. Istnieje również sprzężenie zwrotne: kontrolując swoją mowę, kontrolujesz swoją osobowość.



Charakterystyczną chwilą jest twój pacierz ranny. Był na Wschodzie zwyczaj, że gdy ktoś z członków rodziny udawał się w drogę, wszyscy domownicy siadali na ławce i chwilę milczeli, polecając podróżnego Bogu. Ty masz przed sobą podróż w godziny dnia. Czy potrafisz przed tym chwilę się skupić? A wieczorem, czy potrafisz – tak przed Bogiem – spojrzeć krytycznie na przeżyty dzień? Jak wygląda twoje dziękczynienie po Komunii Św.? Ile trwa minut? Czy masz zwyczaj wstępować do kościoła przed Najświętszy Sakrament? Czy potrafisz dłużej wytrzymać niż dwie minuty?

Nauč się milczeć.
(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński



Sancti estote - Świętymi bądźcie - Святими будьте

OJCA LUDWIKA WRODARCZYKA OMI PONADczasowe wartości...

W każdym człowieku tkwią wartości zapisane gdzieś w jego wnętrzu, które są aktualne mimo upływu lat. W Gimnazjum imienia Ojca Ludwika Wrodarczyka odkrywamy te wartości od chwili nadania Jego imienia szkole. Stają się one cennym przykładem i wzorem dla młodzieży. Ks. proboszcz Ludwik Kieras nazwał swego wujka „człowiekiem wielkiej myśli europejskiej w czasach, kiedy nie było jeszcze mowy o zjednoczonej Europie”. To nowatorskie określenie każe spojrzeć na oblata, który umiował każdego człowieka bez względu na narodowość i wyznanie oraz potrafił nawiązać dialog poprzez znajomość języków obcych w zupełnie obcym dla niego miejscu, w Okopach na Wołyniu, gdzie dane mu było podjąć pracę duszpasterską i gdzie spotykał się z ludźmi różnych narodowości. Francuski, niemiecki, ukraiński, rosyjski, greka i łacina umożliwiały mu znaleźć się w każdej sytuacji. Znajomość języków to wzór do naśladowania dla młodych, którzy dziś szukają swego miejsca w zjednoczonej Europie. W dzisiejszych czasach również często mówi się o ekumenizmie. To dążenie do ekumenizmu nie było również obce o. Ludwikowi. W książce „*Ojciec Ludwik Wrodarczyk. Portret duchowy*” nazwałam oblata prekursorem ekumenizmu praktycznego i duchowego. Gdy ten pierwszy przejawiał się we wzajemnej pomocy bez względu na wyznanie, dążenie do pokoju i wprowadzanie go w zróżnicowanym świecie, ekumenizm duchowy przejawiał się w modlitwie za wszystkich, udzielaniu pomocy kapłańskiej a nawet medycznej



innowiercom, ratowaniu życia Żydom, za co został pośmiertnie oznaczony przez Instytut Yad Vashem Medalem i Dyplomem „Sprawiedliwy wśród narodów świata”.

Największą wartością w życiu oblata była miłość do Boga i ludzi, bo to właśnie ona wyznaczała każdy czyn świątobliwego i z niej wynikała postawa służebna kapłana w każdej chwili jego życia. Apozeum osiągnął, kiedy to ratując kościół sam stał się ofiarą, oddając zań swoje życie. Na wzór Chrystusa.

Maria Kielar-Czapla



Z życia Kościoła - З життя Церкви

BUDOWANIE KOŚCIOŁA



Nad tym salonem piękności mieści się kaplica parafii katolickiej na Oboloni

Fot. Janusz Romaniuk

Chciałbym zwrócić uwagę entuzjastom dialogu ekumenicznego, którzy dzielą się z nami dobrymi radami, jak niełatwo jest ten dialog prowadzić.

Podczas ostatniej wizyty w Kijowie Ojciec Generał bardzo zachęcał nas do zaangażowania w dialog ekumeniczny. Zgadzam się, że nasze klasztory powinny być miejscami dialogu. Nie budzi we mnie również oporu idea pojednania i przebaczenia wzajemnych krzywd. Kocham tych, do których zostałem posłany. Jednego tylko zabrakło mi w rozmowach z Generałem. Zrozumienia sytuacji, w której się znajdujemy. Niestety, bardzo często odnosimy wrażenie, że dialog prowadzony jest jednostronnie. Zupełnie inaczej wygląda ekumenizm z perspektywy Rzymu czy Paryża, a zupełnie inaczej z perspektywy Jarosławlja nad Wołgą,

Pskowa czy – jak się w ostatnich dniach okazało – Kijowa.

We wtorek próbowano rozpocząć budowę kościoła katolickiego w jednej z dzielnic Kijowa. Niestety pomimo tego, że parafia posiada wszystkie zezwolenia potrzebne dla rozpoczęcia budowy, tłum mieszkańców nie pozwala na rozpoczęcie prac. Został zniszczony krzyż postawiony na miejscu budowy, a od wczoraj systematycznie niszczone jest ogrodzenie placu budowy. Wczoraj strzelano z broni pneumatycznej do zakonnic pracujących w parafii. Obecna na miejscu milicja nie reaguje. Prawosławni milczą.

Zdaje sobie sprawę, że w grę wchodzi nie tylko religijne motywacje tłumy (miejsce przeznaczone pod budowę kościoła jest bardzo atrakcyjne ze względów handlowych), jednak jestem przekonany, że pozbawianie jakiegos wyznania świętyni, niezależnie od motywacji tłumy, ma wydzźwięk religijny.

Chciałbym zwrócić uwagę entuzjastom dialogu ekumenicznego, którzy dzielą się z nami dobrymi radami, jak niełatwo jest ten dialog prowadzić. Szczególnie mówiąc nie wyobrażam sobie takiego zachowania katolików wobec innych wyznań, ani w Paryżu, ani w Rzymie, ani w Warszawie. I być może właśnie tu leży różnica w rozumieniu zaangażowania w dialog ekumeniczny.

o. Wojciech Surówka OP

Niniejszy tekst zaczerpnięto z blogu Autora:

http://dominikanie.pl/blogi/wojciech_surówka_op_blok_wschodni/wpis,1501,budowanie_kosciola.html

З життя Церкви - З життя Церкви

FRANCISZKANIE NAD DNIEPREM

Odnaleźć w Kijowie parafię św. Franciszka z Asyżu nie jest łatwo. Bez przewodnika nie ma co jej szukać. Znajduje się w północnej części grodu św. Włodzimierza w dzielnicy Obolów. To liczące pół miliona ludzi osiedle zbudowane na osuszonych naddnieprzańskich błotach. Zaczęto je wznosić w końcu lat siedemdziesiątych i w dalszym ciągu powstają w nim nowe obiekty mieszkaniowe i usługowe. Jak przystało na część stolicy prezentuje się całkiem nieźle. Najnowsze budynki zaczynają w nim dominować nad sowiecką architekturą. Brakuje w nim tylko duchowych stygmatów. Próżno wypatrywać krzyża czy dzwonnicy. Pod tym względem Obolów jest niemal całkowitą pustynią. Dopiero niedawno zaczęto budować, co cerkwie, jedną Moskiewskiego, a jedną Kijowskiego Patriarchatu. Jeżdżąc po dzielnicy można też natknąć się na niewielkie protestanckie domy modlitwy. Tworzona tu przez franciszkanów z ukraińskiej prowincji św. Michała parafia św. Franciszka z Asyżu jest ósmą parafią rzymskokatolicką w stolicy republiki. Jest też chyba jedną z perspektywicznych, choć aktualnie liczy tylko 600 wiernych, to w przyszłości może ich mieć nawet kilka tysięcy. Wystarczy, że jeden procent mieszkańców dzielnicy, w której się znajduje odnajdzie drogę do kościoła, to liczba jej wiernych będzie wynosić 5 tys.

Część z nich ma z pewnością polskie i katolickie korzenie – ocenia proboszcz parafii o. Franciszek Botwina – przyjechali oni do dynamicznie rozwijającej się stolicy Ukrainy z pobliskiej Żytomierszczyzny, czy Podola. Jak pracowałem w tamtejszych parafiach i chodziłem po kołędzie i pytałem osób starszych, gdzie

**O. Franciszek Botwina***Fot. Janusz Romaniuk*

śa wasze dzieci to często słyszałem odpowiedź – mieszkają w Kijowie. Tu bez większego wysiłku odnalazłem 600 osób, które figurują w parafialnej kartotece. Na razie póki nie zbudujemy kościoła musiałem ograniczyć ich wyszukiwanie, bo nie mamy możliwości pracy duszpasterskiej z dużą rzeszą wiernych. Już teraz gdyby wszyscy wierni należący do naszej parafii przyszliby na mszę do naszej tymczasowej kaplicy to nie pomieściliby się. Zasadniczy rozwój parafii zacznie się dopiero po zbudowaniu kościoła. Sądzę, że gdy ludzie zobaczą mury świątyni to sami do niej bez szczególnego zaproszenia przyjdą. Zaczną też przychodzić do niej ludzie, którzy nie mają polskich czy katolickich korzeni, a po prostu szukają Boga. Tu na wschodzie świątynia jest czytelnym znakiem. Potwierdzeniem tego, że wierni, którzy się w niej gromadzą należą do prawdziwego Kościoła. Ci, co zbierają się w kaplicach w mieszkaniach prywatnych uchodzą za sekciarzy.

Choć formalnie parafia św. Franciszka została erygowana 8 grudnia 2000 r. w święto Niepokalanego Poczęcia NMP, to dopiero dwa lata później rozpoczęła posługę w dzielnicy Obolów. Zaczynając na surowym korzeniu ojciec Franciszek zamieszkał przy parafii św. Aleksandra i z grona jej wiernych zaczął wyłuskiwać osoby pochodzące z dzielnicy Obolów. Zaczął też starania o utworzenie ośrodka duszpasterskiego w powierzonym mu mikrorejonie. Nie było to łatwe. Dopiero po trzech latach mógł zaprosić wiernych na pierwsze nabożeństwo do parafialnej kaplicy. By ją urządzić, władze prowincji musiały kupić mieszkanie w nowym bloku i urządzić w nim publiczną kaplicę i salki katechetyczne. Nie było to łatwe.

– Blok znajdował się w stanie surowym i przez rok prowadziliśmy w nim prace adaptacyjne – wspomina o. Franciszek. – Poza wejściowymi drzwiami i oknami nie było zupełnie nic. Musieliśmy doprowadzić prąd, zakładać sanitariaty, kłaść podłogi. Jednocześnie zacząłem wyszukiwać wiernych. Dawałem ogłoszenia we wszystkich parafiach, że na Oboloni tworzy się wspólnota i żeby wszyscy chętni się do niej zgłaszali. Wielu odpowiedziało na ten apel pozytywnie. Gdy się z nimi spotkałem, często dawali mi adresy swoich kolegów i znajomych. Sam też chodziłem po blokach, zachodziłem do mieszkań i pytałem, czy mieszkają tu katolicy. Zapisywałem wszystkich w kartotece i miałem już z nimi kontakt. Zaprzestałem ich tymczasowo odnajdywać, gdy uzbrałem sześćset osób. Większość z nich, jakieś 80 proc. ma korzenie polskie. Uważają się za Ukraińców, ale mówią, że katolicyzm im się podoba, bo ich dziadek czy babcia byli katolikami. Wśród naszych parafian jest też sporo przybyśzów z Zakarpacia, głównie Węgrów i Słowaków, wywodzących się z katolickich rodzin. Niektórzy z moich parafian

są związani z Kościołem katolickim tylko przez chrzest. Większość z tych, którzy się do mnie zgłosiło rozumie jednak, że potrzebny im jest Kościół i wiara. Dochoǳą stopniowo do praktykowania i życia sakramentalnego. Nie można oczywiście wciągać ich do Kościoła na hurra. Trzeba z nimi zaczynać od początku, czyli: „*W imię Ojca i Syna*” i od tego, że jeden jest Bóg w trzech osobach. Dopiero, gdy nauczą się tych podstaw, można przejść z nimi na wyższy stopień wtajemniczenia. Dlatego też prowadzę duszpasterstwo mocno zindywidualizowane. Do ślubu np. każdą z par przygotowuję oddzielnie. Próbowałem gromadzić pięć czy sześć par, ale to nie dawało dobrego rezultatu. Pary są różne, prezentują inny poziom intelektualny itp. Pracując indywidualnie z każdą parą osiąga się znacznie większe owoce... Nadmiernie spieszyć się nie ma, co, bo jeśli nie da się wiernym solidnego fundamentu, to nie będą w stanie np. po katolicyku wychować dzieci itp.

W parafii jest też katechizacja dzieci. Pomagają w jej prowadzeniu dwie mieszkające w dzielnicy siostry Józefitki: s. Chrystosława i s. Błażeja. Obie pochodzą z Szepietówki. Katechizacja odbywa się w soboty i w niedzielę. Uczęszczające na nią dzieci są podzielone na dwie grupy. Starsze już po I Komunii św., których jest dwadzieścia przychodzą na nią w sobotę. Młodsze z tzw. grupy „zerowej” i te przerabiające już dwuletni program przygotowujący do I Komunii św., których w sumie jest osiemnaście, mają katechezę w niedzielę po Mszy św. Ich rodzice uczestniczą wtedy w adoracji Najświętszego Sakramentu, w spotkaniu Franciszkańskiego Zakonu Świeckich (dalej: FZS) itp., dzieci w tym samym czasie są zabierane przez siostry na naukę religii. Posługa siostr jest ważna dla parafii. Chodząc w habitach pełnią rolę czegoś w rodzaju wizytówki parafii. Idąc ulicą są często zaczepiane przez ludzi, któ-

**Ółtarz w kaplicy parafii katolickiej na Oboloni****Fot. Janusz Romaniuk**

rzy widząc monaszki pytają je, kim są i co tutaj robią. Jest to dla nich często okazja do nawiązania dialogu i poinformowania o istnieniu parafii. Wobec osób już związanych z parafią siostry pełnią rolę świadectwa. Wierni wiedzą, że zgodnie ze swoim charyzmatem służą one także najbiedniejszym. Siostra Błażeja pracuje w kuchni „Caritas” przy centralnym biurze, a Siostra Chrystosława pracuje w szpitalu z dziećmi chorymi na AIDS, porzuconymi przez matki także dotknięte tą chorobą.

W niedzielę w parafialnej kaplicy jest odprowadzana tylko jedna Msza św. o 10.30. Ma uroczysty charakter. Ojciec Franciszek zawsze się do niej specjalnie przygotowuje. Wierni, którzy na nią przychodzą mają w zdecydowanej większości wyższe wykształcenie, pracują na odpowiedzialnych stanowiskach i nie można ich traktować

jak starszych babć ze wsi. Tym bardziej, że są to ludzie młodzi, którzy jeżeli już zdecydowali się być katolikami, to czynią to poważnie.

– Po Mszy św. wielu z nich zostaje, zadaje pytania dotyczące Ewangelii czy kazania i trzeba umieć na nie odpowiedzieć – mówi o. Franciszek. – Dyskusje z nimi są bardzo ciekawe. Interesują się wiarą, od razu widać, że czytają dostępną obecnie bez większych kłopotów literaturę religijną. Sam, gdy ich odwiedzam, to widzę na półkach wielu mieszkań „Encyklopedię Katolicką” i inne wydawnictwa.

Do niedzielnej Liturgii o. Franciszek stara się wciągać wszystkie grupy wiekowe parafii i założone przez siebie ruchy. W I niedzielę miesiąca oprawę do Mszy św. zapewniają dzieci, w II „Domowy Kościół”, w III Franciszkański Zakon Świec-

kich, a w IV – Kółko Różańcowe. Do „Domowego Kościoła” należą dwa kręgi rodzin. Do jednego należy pięć, a do drugiego dwie rodziny.

– Te siedem rodzin to mój główny aktywny parafialny – śmieje się o. Franciszek. – Są one na każde moje zawołanie. Podobnie jak siedmiu członków FZŚ. Tego ruchu ja już nie zakładałem. Należą do niego osoby, które wcześniej związały się z tercjarzami w sąsiedniej parafii kapucyńskiej. Kółko różańcowe, które ja już zakładałem skupia 20 osób: dzieci, młodzież i starszych.

Jeśli chodzi o parafialną statystykę, to z ksiąg parafialnych wynika, że w toku swojej posługi na Obołoni o. Franciszek pobłogosławił w sumie pięćdziesiąt związków małżeńskich, ochrzcił siedemdziesięcioro dzieci i pochował dwanaście osób. Tendencja ta, jeżeli się utrzyma, a wszystko na to wskazuje, że po przeprowadzce obołońska wspólnota będzie rozwijać się dynamicznie.

Wspomnieć trzeba, że dużą rolę w parafialnym duszpasterstwie o. Franciszek przywiązuje do kolędy. Nie ma ona takiego jak w zwartych skupiskach katolików charakteru. Tu nie chodzi się od mieszkania do mieszkania, czy od domu do domu. Katolicy mieszkają w różnych punktach półmilionowej dzielnicy, wielkiej jak dwa obwodowe miasta na Zachodniej Ukrainie. Odwiedzać ich można tylko wieczorem, bo w dzień pracują.

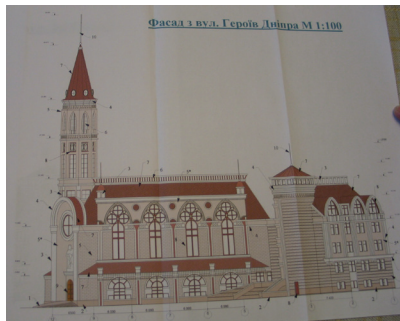
– W toku jednej wizyty duszpasterskiej można odwiedzić jedną, góra dwie rodziny – mówi o. Franciszek. – Każdej trzeba poświęcić, co najmniej dwie godziny. Ludzie chcą, bowiem porozmawiać, podzielić się swoimi troskami. Dlatego też w okresie kolędowym odwiedzam najwyżej trzydzieści. Więcej po prostu nie dąlbym rady. Co roku oczywiście staram się odwiedzać inne rodziny. Jadę też do tych, które mają problemy, by im jakoś pomóc.

W 2002 r. o. Botwina przystąpił także do starań o zakup ziemi pod budowę świątyni i ośrodka duszpasterskiego i od razu napotkał na ścianę.

– Kijowscy urzędnicy ani słyszeć nie chcieli o daniu zgody na budowę katolickiej świątyni w dzielnicy Obołoń – wspomina. – Parafię rzecz jasna zarejestrowali, bo odmówić nie mieli prawa, ale bardzo pesymistycznie wypowiadali się o możliwości wzniesienia świątyni. Wszędzie, gdzie pukałem do drzwi urzędników różnych szczebli, byłem przyjmowany z ironicznym uśmiechem. Niektórzy wprost mi mówili, że tu jest kraj prawosławny, że katolicy nie powinni się tu pchać, tylko jechać do swojej Polski, albo Watykanu. Niektórzy bardziej życzliwi pytali mnie – po co na Obołoni kościół, kto do niego będzie chodził. Nawet jak są tutaj rzymscy katolicy, to mają przecież kościoły św. Aleksandra i św. Mikołaja, mogą wsiąść w metro i bez przeszkód na nabożeństwo dojechać. Jeden z nich oświadczył mi, że jest wierzącym prawosławnym, ale cerkiew na Obołoni jest mu niepotrzebna, bo jak się chce pomodlić, to jedzie do Peczerskiej Ławry. Musiałem prowadzić z nimi i jego kolegami długie dyskusje. Tłumaczyłem mu, że z kościołami jest jak z bankami. Jest jeden główny w centrum miasta, ale w dzielnicach buduje się jego filie, żeby jego klienci mieli do niego łatwy dostęp. Przekonywałem jego i innych, że materialny komfort życia przejawiający się w rozbudowie infrastruktury usługowej musi współgrać z rozwojem instytucji służących rozwojowi duchowemu. Trzeba było wiele cierpliwości i taktu, żeby pokonać wszystkie trudności. Dziś z tymi samymi ludźmi inaczej się już rozmawia. Zarówno ci z głównego merostwa stolicy, jak i władz dzielnicowych nie kwestionują idei budowy kościoła w swoim mikrorejonie. Mamy już na nią pozwolenie.

Przekonywanie władz, by zgodziły się na wzniesienie świątyni i udzieliły wszelkich wymaganych do tego pozwoleń zajęły o. Franciszkowi bite cztery lata. Miesiącami oczekiwał na kolejną zgodę, po uzyskaniu, której mógł starać się o następłą. Wykazał przy tym nie tylko dużo cierpliwości, ale zwykłej franciszkańskiej pokory. Sporo pomógł mu fakt, że, mimo iż jest Polakiem, ma ukraińskie obywatelstwo i nie można go było deportować do Polski. W ukraińskiej stolicy mieszkał u siebie. Urodził się w 1965 r. w polskiej i głęboko wierzącej rodzinie, w cieniu zawsze czynnej świątyni w Połonnem. Na chrzcie otrzymał imię Piotr. W czasach komunistycznych zawsze jak sięga pamięcią chodził do kościoła.

– Gdy przyszła niedziela lub w tygodniu przypadało jakieś większe święto, nigdy nie miałem wątpliwości, że trzeba iść na Mszę św. – wspomina. – Było to czymś oczywistym, niejako naturalnym. Zawsze z rodzicami i babcią ruszaliśmy do kościoła, korzystając z łaski Pana Boga, że mamy go pod boki, podczas gdy inni musieli dojeżdżać do niego po trzysta kilometrów... Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpocząłem naukę w Technikum Radiotechnicznym we Lwowie. W tym mieście były dwa czynne kościoły, więc nie miałem kłopotów z praktykowaniem wiary. Po maturze odbyłem służbę wojskową i w 1986 r. po opuszczeniu koszar postanowiłem zostać księdzem i wstąpić do seminarium. Poszedłem do ówczesnego proboszcza parafii w Połonnem, którym był obecny biskup Stanisław Szzyrkoradiuk. Przy jego pomocy udało mi się dostać do seminarium w Rydze. Wtedy jeszcze o zakonie nie myślałem, nie wiedziałem nawet, że taka możliwość służenia Panu Bogu istnieje. Po pierwszym roku, gdy przyjechałem na wakacje, mój proboszcz zaproponował mi bardzo puf-



Projekt kościoła i klasztoru OO. Franciszkanów na Oboloni w Kijowie

ny wyjazd. Nie powiedział gdzie i po co, nadmienił tylko, że wszystko, co podczas niego usłyszę i zobaczę, musi pozostać najściślejszą tajemnicą. Pojechaliśmy do Miastkówki do ojca Martyniana Darzyckiego. Byli już tam na miejscu inni ojcowie, m.in. o. Albert Turowski, obecny biskup kamieniecki Leon Dubrawski, o. Jan Duklan i inni. Gdy złożyłem przysięgę na krzyż i Ewangelię, że nie ujawnię nikomu tego, co tu zobaczę dowiedziałem się, że uczestniczę w tajnym spotkaniu odradzającego się zakonu franciszkańskiego na Ukrainie. Wciągnęło mnie to i od tej pory zacząłem przechodzić kolejne stopnie wtajemniczenia. Zaufałem księżom, którzy byli na tym spotkaniu. Mieli duży autorytet. Świecenia diakonatu otrzymałem jako ksiądz diecezjalny, a kapłańskie już jako zakonnik w 1991 roku. Byłem święcony w rodzinnym Połonnem z jeszcze jednym franciszkaninem Janem Kapistranem Walerym Weselskim. Trzy miesiące pracowałem jako wikary w parafii w Połonnem, a następnie przez 6 lat proboszczowałem w Szepetówce. W 1997 r. przeniesiono mnie do Szarogrodu, gdzie proboszczowałem przez trzy lata, a w 2000 r. przełożeni skierowali mnie do Kijowa. W pracy tu pomogło mi, co trzeba podkreślić, biegła znajomość języka ukraińskiego. Chodząc po kijowskich urzędach,

mogłem śmiało polemizować z jego pracownikami mówiącymi po rosyjsku. Jak tylko któryś z nich zaczął sugerować, że jako katolik promuję zagraniczne wyznanie żartując zapytałem go, dlaczego on uważając się za dobrego obywatela Ukrainy mówi do mnie po rosyjsku, zachowując się jak okupujący go obcokrajowiec...

Ojciec Botwina nie myśli już o trudnościach. Wierzy, że już w najbliższych miesiącach będzie mógł rozpocząć budowę kościoła i związanego z nim ośrodka duszpasterskiego. Jego plany projektowe są już rzecz jasna od dawna gotowe. Na rysunkach prezentuje się on imponująco. Będzie to budowla tradycyjna, trzynawowa o długości 30, a szerokości 15 metrów. Centralna ława ma mieć szerokość 9 m, a boczne po 3 m. Klasztor i pomieszczenia parafialne będą dobudowane za prezbiterium. Z lotu ptaka cały obiekt będzie przypominał literę T. Klasztorna „poprzeczka” składać się będzie z trzech kondygnacji. Na pierwszej zostanie urządzony klasztor i pomieszczenia dla pracy duszpasterskiej w parafii, prowadzenia katechezy i najrozmaitszych spotkań. Na drugiej kondygnacji zainstaluje się Prowincjałat, czyli Zarząd Prowincji, który przeniesie się do stolicy z Żytomierza. Na trzeciej kondygnacji zostanie urządzony hotelik prze-

widziany na przyjęcie wycieczki mieszczącej się z autokarze. Świadcząc usługi noclegowe parafia chciałaby, bowiem zarobić na własne utrzymanie. Wiadomo zaś, że chętnych do odwiedzania ukraińskiej stolicy nie brakuje.

Budowa całego obiektu będzie oczywiście bardzo kosztowna i pochłonie wiele milionów dolarów. Wiązać się będzie też z problemami technicznymi. Cała dzielnica stoi na osuszonych błotach i teren pod budowlę musi zostać wzmocniony dodatkowymi palami. Ojciec Franciszek jest jednak przekonany, że uda mu się doprowadzić cały projekt do szczęśliwego finału.

– Idea budowy w Kijowie klasztoru i kościoła pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu zrodziła się w naszej wówczas jeszcze Kustodii św. Michała przed wizytą w stolicy Ukrainy Ojca Świętego Jana Pawła II – wspomina o. Franciszek. – Jak w Kijowie była Msza św., to po jej zakończeniu papież poświęcił przygotowany przez nas kamień węgielny, przywieziony specjalnie z Porcunkuli. Wierzymy, że Jan Paweł II jako Sługa Boży i przyszły święty będzie orędowną w niebie, by realizacja naszego przedsięwzięcia służącego Chwale Bożej została szybko zakończona.

Na razie pewne jest, że w wyniku swojej kilkuletniej działalności o. Franciszek osiągnął nie tylko sukces duszpasterski czy organizacyjny polegający na przygotowaniu organizacyjnym budowy świątyni czy klasztoru. Wpisał franciszkańską parafię w pejzaż Obołoni. Już teraz jest ona zauważona.

Jeżeli coś dzieje się w dzielnicy związanego z życiem duchowym czy otwarciem nowego obiektu lub działalnością charytatywną, zawsze jesteśmy zapraszani – podkreśla o. Franciszek.

To dobry prognostyk na przyszłość.

Marek A. Koprowski



W sąsiedztwie placu budowy nowego kościoła znajduje się klub-kasyno
Fot. Janusz Romaniuk

Zapisane pod tęczą - Записане під веселкою

DOTYK ANIOŁA

Zimy w Kijowie są ciężkie. Bywa, że temperatura spada do 30 stopni poniżej zera. Wtedy zamykają szkoły. Życie zamiera. Tylko w sprawach najważniejszych ludzie opuszczają swoje ciepłe mieszkania.

Najgorzej mają wtedy ludzie marginesu, ludzie bez pracy, bez mieszkań, tak zwani bomże (BOMŻ – biez opriedielionowo miasta żytielstwa). Tacy ludzie błąkają się po mieście, można ich spotkać na dworcu kolejowym, przy wejściu do metra. Często swoje drobne oszczędności przeznaczają na tani alkohol, coś do zjedzenia. I tak mijają dni, miesiąca a nawet lata.

Alosza skończył w listopadzie 40 lat. Minęło też pięć lat, jak prowadzi życie bomża. Któregoś pięknego jesiennego dnia żona mu powiedziała aby się wynosił, że ma go już dość, jego obietniczek caca-niek, że nie będzie pił, że dalej będzie pracował. Już miała tego dość. Dzieci płaczą, głodne, boją się wszystkiego. Za długo to wszystko się ciągnie...

Alosza wziął torbę, trochę rzeczy i wyszedł z domu. Nawet nie protestował. W sumie żona miała rację. Wiedział, że jest słaby, że nie potrafi żyć bez alkoholu, bez swoich przyjaciół. Szkoda mu było tylko mieszkania, gdzie mógł się wykąpać, pospać, i coś zjeść.

Pierwszą noc spędził na dworcu kolejowym. O piątej rano dwóch milicjantów obudziło go, sprawdzili dokumenty i kazali wynieść się z dworca. Wyszedł na ulicę, już widniało, skierował swoje kroki do metra. Jeździł metrem od jednej stacji do drugiej, przesiadał się, zmieniał linie.

I tak mijają dni, a nawet miesiące. Czasami przychodził pod dom, gdzie była

Mariusz Wozniak OP

ZAPISANE
POD TECZA...



żona, dzieci. Nawet nie próbował tam wchodzić. Z dołu patrzył na okna, w których paliło się światło. Wystarczała chwila, aby powspominać, jak to było dobrze kiedyś, kiedy skończył studia, i dostali to mieszkanie, potem oczekiwanie na pierwsze dziecko, choroba żony, drugie dziecko, praca, zmiana stanowiska w pracy na lepsze, bardziej płatne...

Ale tak było kiedyś, dzisiaj jest inaczej. Kijów to ogromne miasto, dzięki Bogu ma jeszcze gdzie pójść, coś wypić. Czas szybko mijał.

Regularnie, co tydzień przychodził pod dom, po kilkunastu miesiącach, kiedy tak patrzył w okna swojego dawnego mieszkania, z klatki schodowej wybiegła

jego córeczka, chciał ją zawołać, ale nie mógł wydobyć głosu. Katia przeszła obok niego, nawet go nie poznała. Zarośnięty, brudny stał i czuł, jak lzy cieką mu po policzkach. Otarł je ręką i poszedł do znajomych. Chciał o wszystkim zapomnieć. Wpadł w kolejny ciąg picia. Kiedy po tygodniu szedł w stronę mieszkania, nie mógł znaleźć domu. Osiedla są do siebie tak podobne. Machnął ręką na to wszystko, i tak nic nie zmieni.

Znowu mijały dni, miesiące, pory roku. Po kolejnym zapiciu, poczuł się słabo, położył się w „wygodnym miejscu”, na ławeczce obok metra. Zasnął. Śnił mu się kolorowy świat, było ciepło, miło. Przez moment wydawało mu się, że obok niego przykucnął anioł. Nigdy czegoś takiego nie widział. Wydawało mu się, że ta zjawka należy do snu. Ale wyraźnie czuł dotyk ludzkiej ręki, coś nie tak. Za dużo alkoholu, jakieś zjawy, to na pewno delirium albo jak tutaj mówią „*zdwig po fazie*”...

Wydawało mu się że śni. W śnie leciał w jakąś przepaść. Dna nie było. Zbyt długo do trwało. Lot doniknął, jak całe jego życie. Świat wokół niego kurczył się, to znowu rozszerzał.

Znowu poczuł dotknięcie, otworzył oczy, przy nim stały dwa anioły. Podniosły go i zaprowadziły do samochodu. Alosa odczuwał jakieś trudne do określenia ciepło, dobroć, która promieniowała od nieznanymi osób w białych ubraniach. Do jego głowy doszło, że może wiozą go do psychuszki. Chciał uciekać, ale nie miał siły. W sumie to wszystko jedno gdzie go wiozą, byleby tam było ciepło.

Jeszcze raz zapadł w śpiączkę, kiedy się obudził, w pokoju, w którym leżał zobaczył jeszcze dwa nowe anioły. Tym razem nie miał już złudzeń – zwariował. Anioły rozmawiały ze sobą po angielsku. Było to dziwne, ale i tak ten świat jest

dziwny, więc to normalne, że w niebie rozmawiają w tym języku. No trudno, „*krysha pojechała*”, trudno...

Znowu zamknął oczy. Nie chciał ich otwierać. Bał się, że zjawy się pojawia. Anioły, ciepły pokój, czystość pomieszczenia, promieniująca dobroć to iluzja... Lepiej od tego uciec. Zamknąć oczy, tak, żeby więcej ich nie otworzyć, żeby się nie przebudzić.

Spał długo, jego niespokojny sen był sen pełen koszmarów, krzyków, biegania, strachu, trwogi...

Kiedy się przebudził, zobaczył obok siebie młodą dziewczynę w sari. Spała. W rękach trzymała coś podobnego do prawosławnych czotek. Pod nosem mruczała niezrozumiałe dla niego słowa. Kiedy zauważyła, że się obudził, łamanym rosyjskim zapytała go jak się czuje.

Ciepło domu, błoga radość bycia z kimś, dawała mu pokój, zadowolenie. Po chwili przyszedł lekarz. Zbadał go, przepisał jakieś lekarstwa. Siostry dały mu w reklamówce lekarstwa i trochę jedzenia.

Za oknami domu sióstr padał śnieg. Warstwa białego, jeszcze czystego śniegu szczelnie przykrywała brudny, pełen śmieci świat. Przynajmniej przez jakiś czas będzie czysto. Pełen pragnienia jakiejś zmiany w swoim życiu, zapadał w kolejny sen.

We śnie dwa anioły otwierały przed nim drzwi, za którymi była wiosna, promienie rozgrzewające zroszoną rosą trawę. Wszystko jeszcze przed nim, w świetle słońca widział nadzieję dla siebie...

o. Mariusz Woźniak OP



Do 70. rocznicy ludobójstwa - До 70-ої річниці геноциду WIELKANOC 1943 R. NA WOŁYNIU

W ciągu około dwóch tygodni – począwszy od 18 marca do pierwszych dni kwietnia 1943 r. – na Wołyniu zdezerterowało ze służby niemieckiej ponad 5000 policjantów ukraińskich. Zasilili leśne zbrojne oddziały tworzone przez Organizację Nacjonalistów Ukraińskich (OUN) od jesieni 1942 r., nazwane później Ukraińską Armią Powstańczą (UPA). Wraz ze zwiększeniem liczebności ukraińskiej „partyzantki” nastąpiło nasilenie napadów na polskie pojedyncze zagrody i całe osiedla, trwających z różnym natężeniem już od końca poprzedniego roku. Najbardziej poszkodowane w marcu 1943 r. były powiaty kostopolski oraz łucki, gdzie morderstwa połączone z rabunkiem mienia i paleniem zagród miały miejsce łącznie w 81 miejscowościach (na całym Wołyniu – w 181 miejscowościach). W gminie Derażne powiatu kostopolskiego przez ponad tydzień w drugiej połowie marca były mordowane kolejno wszystkie polskie kolonie. Zginęło tam co najmniej 480 Polaków – mężczyzn, kobiet i dzieci, ocaleni zostali zmuszeni do ucieczki. W sąsiedniej gminie Berezne tego powiatu 26 marca 1943 r. została zniszczona całkowicie kolonia Lipniki, bojówki ukraińskie okrutnie wymordowały około 180 Polaków.

W kwietniu 1943 r. rzezie Polaków były kontynuowane przez nacjonalistów ukraińskich z tą samą zaciętością. Polacy byli napadani w 207 miejscowościach. Święta Wielkanocne przypadały wówczas na 25 i 26 kwietnia. Można by spodziewać się, że te Święta zobowiązujące do rachunku sumienia i moralnej refleksji spowodują choćby czasowe opamiętanie nacjonalistów ukraińskich. Było wręcz



odwrotnie. Ukraińcy w Krzemienieckiem czynili złowróżbne aluzje, że na Wielkanoc dla Polaków szykuje się coś niedobrego. W odległym od krzemienieckiego powiecie kostopolskim, w Janowej Dolinie, Ukraińcy mówili wprost o „*jajach wielkanocnych malowanych krwią Polaków*”.

Przepowiednie te zostały zrealizowane. W Wielkim Tygodniu nastąpił napad na osadę Janowa Dolina, zamieszkaną przez polskie rodziny pracowników kamieniołomów. O północy z 22 na 23 kwietnia (Wielki Piątek) 1943 r. do osady wtargnęło ok. 1500 uzbrojonych upowców uprzednio skoncentrowanych w okolicznych lasach oraz liczni Ukraińcy z sąsiednich wsi, nawet kobiety i dzieci,



które przy pomocy wiązek siana i słomy podpalały zabudowania ze śpiącymi ludźmi. Posuwając się w kierunku stacji kolejowej, w pobliżu której stacjonowali Niemcy, napastnicy, wśród których były dziewczyny ukraińskie, ostrzeliwały uliczki i podpalali drewniane budynki przy pomocy nafty i benzyny, wrzucając jednocześnie granaty do wnętrza mieszkań. Ludzie ginęli w płomieniach bądź byli zabijani, gdy ratowali się ucieczką z płonących zabudowań. Mieszkańcy, którzy nie zdążyli opuścić domów, schronili się w murowanych piwnicach i z tych nikt nie mógł się uratować. Albo podusili się od dymu, albo spalili tam, gdzie upowcy wrzucali do piwnic butelki z łatwopalnym płynem i płonące żagwie, albo też upiekli od żaru płonących domów. Złapani byli przywiązani do drzew i podpalani lub pozbawiani różnych części ciała. Niektórzy zostali powieszani. Do ofiar nie strze-

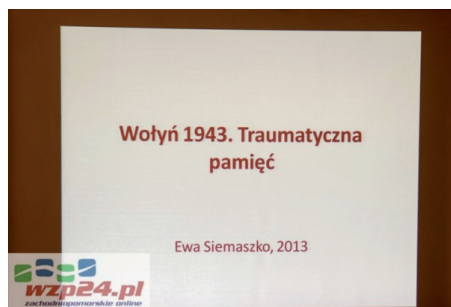
lano (ludzie byli mordowani siekierami, widłami, nożami, dragami, a niemowlęta brano za nogi i rozbijano głowy o ściany). Zginęło około 600 Polaków.

Również w Wielkim Tygodniu pomiędzy 19 a 23 kwietnia 1943 r. Ukraińcy zniszczyli przy pomocy materiałów wybuchowych barokowy kościół pod wezwaniem św. Kazimierza w Kazimierce, w powiecie kostopolskim. Większość Polaków z tej miejscowości uciekła już wcześniej, a trwających na swych gospodarstwach kilku Polaków zamordowano w Wielki Piątek 1943 roku.

Dokładnie w dni świąteczne UPA napadła na szereg miejscowości w innych powiatach. W okolicach Dubna zaatakowane zostały w pierwszy dzień Wielkanocy 4 miejscowości: Kyrłówka, Piąty Kwartał, Mikołajówka i Nosowica Nowa. W powiecie krzemienieckim mordowano w Wielkanoc Polaków żyjących w Wesołowce, Michałowce, Medwedówce, Dębince, Radoszówce, Woli Wilsona.

Czas poświąteczny nadal spływał krwią i jarzył pożogą. Na całym Wołyniu w kwietniu zostało wymordowanych przez OUN i UPA około 3000 Polaków.

Ewa Siemaszko



Literatura - Liirepatypa

TATARZY NA WESELU

Czemże to są nasze dzisiejsze wesela w miarę dawnych? Śmiesznymi tylko naśladownictwami. Nie przywiązujemy już do nich tej wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego znaczenia, ani tak wielkiej pamiętki.

Dawniej raz się człek rodził, raz żenił, raz umierał, ślub był węzłem nierozzerwalnym, to też wesele wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty, jak urodziny lub też śmierć.

Prawda, że dawniej tylko dla formy mówiono na weselu o sercu lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia zapewniały pokój, zgodę i to ciche a stałe przywiązanie, które jeszcze widzimy czasem w parach nierozłącznych staruszków służących tylko za pośmiewisko ludziom naszego wieku.

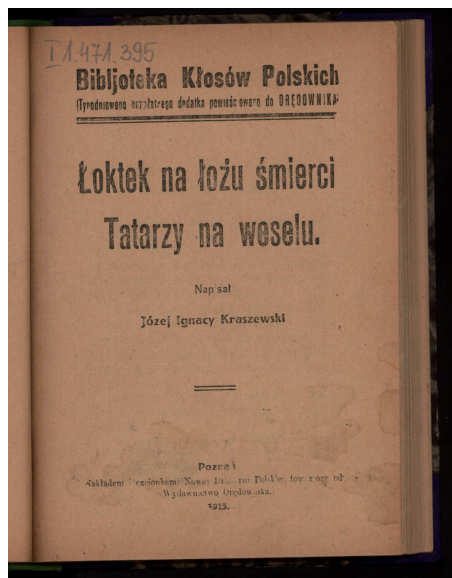
Przed kilkuset laty a jeszcze na dworze wielkich panów to to były wesela!

Samo ich wspomnienie świeciło, jak gwiazda, w życiu pary pobranej do dni ich schyłku.

Były to gody wesołe, szumne, pyszne, mające swój obrząd narodowy, niewzruszony i upoważniony odwiecznym zwyczajem obrząd pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych warstw ludu pozostały.

Właśnie o jednym z takich wesel dawnych chciałbym wam powiedzieć. Nie, żebym je opisywał, bo któż się od razu całego obrzędu nie domysła? i przemówień, i uczty, i huku dział i muzyki, i rozczulającego błogosławieństwa starych? – lecz dla jednego godnego w niem pamięci szczegółu.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, wojewoda kijowski, marszałek wołyński, starosta włodzimierski, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic



ogromnego księstwa, gotował się sprawić w jednym ze swoich zamków, dubieńskim, wesele księżnie Beacie Dolskiej, powinowatej i wychowawcy swojej, którą wydał za księcia Sołomereckiego.

Obie te książęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, wówczas jeszcze świeciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie i – zgasli z tyłu innemi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubieńskim.

Liczny zjazd gości sproszonego zdaleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnej, życzliwej domowi książąt Ostrogskich, zawałał końmi, kolebkami (karetami) i ciżbą pacholąt podwórcze zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbierali z różnych ulic miasta, nie dając nawet przyskrzypnąć wrót zamku.

Był to sam ranek dnia weselnego, ranek styczniowy śnieżysty i ponury, powietrze niesło ze sobą wilgoć, wyziewy ziemi i ciężło w piersiach. Słońca nawet nie widać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy nie stosuje się do czynności i uczuć, choćby najznakomitszych ludzi.

Rzadko bardzo ulubieńcom losu świeci słońce pogodne w ich dni uroczyste, i to historia między cudy swoje zapisuje.

Kurczyli się od zimna przenikliwego śludzy na podwórku i u wrót zamku pokrzepiając się suto dostarczonym napojem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku, pochodzące od pory, i wesołość sztuczną, jaką napitek wymusza na biednych, słabych głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela: nie było kąta gdzieby go znać i czuć nie było; wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zaczawszy od kuchni, pałającej ogromnem ogniskiem, gdzie kuchmistrz spocony chrypl od krzyku nad czterema sosami aż do komnat panny młodej i pana młodego.

Mężczyźni zebrani gadali, śmiali się i pokrzepiali śniadaniem a że nie było we zwyczaju XVI wieku u wyższej warstwy grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek o wojnie, turniejach i koniach rozprawiając.

Książę Sołomerecki, błądy, młody, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko się uśmiechał.

Coraz poprawiał na sobie paradnego ubioru, na którym guzy brylantowe i złote błyszczały kutasy; ścisnął rękojeść suto wysadzanej karabeli, odrzucał wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Małeńki jego wymuskany wąsik poruszał się uśmiechem, którym odpowiadał na wszystkie pytania.

U progu stał w nieładzie podróżnym zbrojny kozak ukrainiec, z osełdцем (rodzaj warkocza z przodu głowy) zwieszonym, zbrojny w koszulę drucianą, szablę, rusznicę, janczarkę, łuk i strzały, z nożem u pasa, z workiem kul, z chustką paradaną w wielkie kwiaty, z worem skórzanym na wodę, nahajką, długim sznurem jedwabnym, prochownicą i mnóstwem innych drobnostek, składających dawne uzbrojenie kozaka.

Mowę miał posępną i zamyśloną, wszyscy go pytali i zaczepiali, a on zwolna, lecz śmiało w swoim rodzinnym języku odpowiadał.

– I jakże – odezwał się ktoś z tłumu – są wieści o tatarach?

– Tak jak każdej prawie zimy, gdy wody staną – odparł kozak – gadają oni i wygadają. Ciągną się gdzie dolinami chyłkiem.

– Którędy?

– Kto ich wie! Bóg jeden, co tę plagę zsyła. Jak przyjdą, będzie się dymić za nimi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś, jak krety, postrzedz ich nie można. Może się już ciągną złodziejską doliną.

– Wieleż ich być może?

– Jak zawsze tyle co szarańczy, a więcej jeszcze koni niż ludzi, bo u nich i konie się biją, gdy u nas ludzie nie wszyscy potrafią.

– Widział ich kto? czy to tylko słuchy zimowe?

– Do tej pory słuchy tylko, ale kto się boi, daleko widzi.

– U stracha wielkie oczy – dołożył książdz Makary, kapelan. – Niech książę pan pośle po język.

I na tem ucięła się rozmowa a odprawiony Ukrainiec wyszedł.

Książę zaś zaraz polecił swoich kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady dolinami i zwykłym tatarów szlakiem.

Wieżę od tatarach spadła wśród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku.

I znowu od komnaty panny młodej aż do kuchni i zwodzonego mostu, wszystko ją powtarzało, i wszystko drżało od niej; bo tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, gorsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba.

Ażeby wesela nie zamrozić, zakazał książę wojewoda mówić o tem kobietom. Zakazał; – był to właśnie sposób doprowadzenia jak najprędzej tej wieści do ich uszu.

Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szeptali, tak rękoma machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli pokazać gryzącą ich w głębi tajemnicę, że nareszcie domysłne z natury poczuły ją kobiety.

Żony od mężów prędko się »pod sekretem« dowiedziały, o co idzie, potem przyjaciółki przyjaciółkom jak zaczęły podawać z ust do ust wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodej, gdzie właśnie księżnie Beacie czarne jej długie rozpuszczano włosy dawnym zwyczajem słowiańskim.

Nie wiem, jak wam opisać pannę młodą.

Nie była ona ani piękna, ani wdzięczna, wysoka, blada, czarnobrewa, poważna, choć młoda jeszcze zupełnie się różniła od męża, który przy niej podobny był przebranej niewieście. W oczach jej tylko błyskał niezwykły ogień zapału, męstwa, wytrwania, stałości. Czoło wzniosłe, gładkie, spokojne, zdawało się wielkie myśli i piękną duszę pokrywać, usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, nie otwierały się na próżne słowa, a rzadziej jeszcze na uśmiech.

Cóż mogło łączyć tak różnorodną nowożeńców parę??

Oto – wola krewnych.

W ich sercach nic się nie działo, nic

nie biło, nic nie wrzało, żadna namiętność, żaden pociąg.

Ich ręce nie spotkały się i nie zadrżały przed związaniem u ołtarza; byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo nie mieli trującej przyszłości przeszłości, ani wstępu do siebie; a ówczesny zwyczaj dawno ich do podobnego połączenia przygotował.

Kiedy panny służebne i družki gwarzyły około księżnej Beaty zaczęły i, przestraszone tatarami, zapomniały złotych szpilek w aksamitnych poduszkach, spoglądając po sobie ze drżeniem, księżna Beata, jakby ocucona z myśli głębokiej, zapytała:

– Cóż się stało?

– Nic dotąd, księżna pani – odpowiedziała, zająkując się – ale, ale mówią, choć książę wojewoda mówić o tem zakazał, że tatarzy idą.

– Tu idą?

– Ach? zapewne tu? Ćma słyszę niezliczona! Ja się tak strasznie boję tatarów! – szebiotała dalej. – Takie poczwary ogorzałe z przyplaszczonymi nosami, ze ślepiami czarnymi, z odstającymi uszami, co się rodzą ślepiami, jak szczenięta, żyją końskiem mięsem i w Świętą Tróję nie wierzą! o, jak ja się ich boję!

– A ja nie – odpowiedziała panna młoda, odrzucając włosy – bo pierwszego, coby do mnie śmiało przystąpić, pewnie bym zadusiła.

Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły.

– Wzięliby nas i odesłali do seraju sułtana swojego, ci ohydni poganie – mówiła družka – a choć cudu o nich prawią, niech nas Bóg wcielony od tych rozkoszy broni a naprzód od ich wiary pogańskiej, wedle której, jak książd Makary powiada, kobiety nie mają duszy.

– Nie mają duszy, panno Stanisława – zawołała księżna – a czemużby żyły! prawdziwie pogańska ślepotą!

– I takim to ludziom możemy się dostać w ręce! – szeptały panny.

– Kto? my? – znowu odpowiedziała księżna. – Alboż tu niema zamku, dział i ludzi, alboż nie ma wody w Ikwie i pasa u sukni, żeby się w ich oczach udusić.

– Ale ich tyłu!

– Nas mało, ale z nami Bóg chrześcijan i walczyć będziemy na swoich śmieciach.

Na te słowa pełne zapału a tak niezwykajne w ustach kobiety, wszedł książę wojewoda.

– Niech żyje bohaterka! – zawołał całując ją w czoło. – tak mówić, tak myśleć trzeba, a nigdy u nas tatar nie będzie! Ale zresztą, moja panno, jeszcze oni zapewne daleko, bo to są tylko głuche wieści. My tymczasem myślimy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na vivat, niech wówczas idą, a przyjmiemy ich dobrze, na rany Chrystusa!

W istocie nie bardzo było czego się bać w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania, ta warownia, której później Chmielnicki próbować nawet nie chciał zdobycia, była dość mocna. Dokoła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich rowów niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowem nie mogło. Trudno także było zapaśne zamczysko dostać głodem, a tatarzy, którym spieszny był powrót, nigdy tego próbować nie mogli.

Tymczasem gdy w zamku rozprawiają o tatarach; gdy się śnieżyste tumany rozrzedzają i dzień wyjaśniać zaczyna; gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i żydów: w cerkwi zamkowej stroją ołtarz do ślubu, a w zamku ucztę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

Ach, gdzież się podziały te dawne gościnne biesiady, na których pan, sługa jego,

koń i pies, jak zesłańcy od Boga, przyjmowani byli, czem stało, co było! Dzisiejsi dawnych słowian potomkowie przyjęli już obce obyczaje, handlarskie, nikczemne, skąpe i zimne – ale szkoda dawnych, bo dawne nie były europejskie, nie były tak wykwintne, a szersze za to i pocziwsze. Dawniej egoizm musiał się ukrywać i wstydić, dziś się ze siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu pokój.

Miarkujcie, jaka być mogła biesiada księcia wojewody, pana na Ostrogu, który miał dziesięć milionów rocznego dochodu który za marszałka dworu trzymał jednego ze starszych wojewodów, płacąc mu siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby stał za jego krzesłem w dni uroczyste, którego orszak zwyczajny dwa tysiące doborowej szlacheckiej młodzieży składało.

W wielkiej sali godowej, po której ścianach rozwieszone były obrazy rodzinne i niektóre zdobycze wojenne, zastawiono długie stoły nakształt podkowy, pokryte trzema wedle zwyczaju leżąciami na sobie obrusami szytymi, na których kurzyło się już pierwsze danie. W oddaleniu nieco połykiwał niezmierną mocą sreber kredens za balustradą, przed którym stały stosy talerzy, półmisek, puharów i złocistych roztruchanów.

Nad wielkimi drzwiami wchodu, na wysokiej galerji, ustawiona była muzyka i śpiewacy chłopięta.

Przy jednym z okien sali osobno zastawiono stolik suto założony mięsiwem dla nadwornego żarłoka Bohdana, który na dzień za trzydziestu zjadał i ze trzydziestu mógł się w potrzebie mierzyć. Było tam takie mnóstwo mięsiwa pieczonego i gotowanego, że ledwie uwierzyć było można iż to wszystko pożre jeden miernego wzrostu człowiek, niezbyt nawet otyły.

Goście weszli do sali jadalnej – panna młoda tylko się nie pokazała. Za nimi słudzy i dworzanie wtoczyli się, mający stąnać za stołkami panów. Podano naprzód

gościom z kolei wielką złocistą miednicę i nalewkę podobną, do umycia rąk, a nareszcie ręcznik, suto po końcach szyty perłami. Marszałek dworu rozsądził ich wedle dostojęństwa i tak przystąpiono do pierwszego dania, które składały pływające we czterech sosach: żółtym, różowym, czarnym i szarym, spore mięsa kawałki. Trzech krajczych u każdego stołu posługiwało. Oprócz tego, rozstawione było pieczone i przyprawy korzenne, licząc w nie narodowy chrzan z octem, kapustę kwaśną i ogórki. Goście, mało co przedtem śniadawszy, niewiele jedli sami, lecz nakładali z górą talerze i oddawali je sługom stojącym za nimi, którzy tuż zaraz za ich krzesłami głośno podane potrawy spożywali. Przed każdym ze siedzących był talerz srebrny, nakryty małą serwetką, i łyżka srebrna pozłocista. Popijano piwo tylko w długich kielichach szklanych.

Po pierwszym daniu zdjęto je razem z pierwszym obrusem, a drugie zastawiono, ze samych pieczeni różnego rodzaju składające się, zwierzyny, ptastwa i ryb. Mimo wspaniałości ucztę spostrzedz można było także na stole dziś bardzo wzgardzony groch ze słoniną i kaszą krajową. Nakoniec nastąpiło trzecie danie, ze samych łakoci złożone. Tu dopiero zaczęły się toasty za przyszłe powodzenie państwa młodych.

Gdy już do ust niesiono kielichy, a muzyka i moździerze połączyły się z wykrzykiem: – Pierwsze zdrowie! – nagle z dziedzińca ozwał się głos, nie vivat wykrzykujący nie radosne hura! lecz krzyk przestrachu, który, stłumiwszy wszystkie, skamieniał gości i wytrącił z rąk ich puhary.

Wybłądły kozak wpadł do sali.

– Książę – zawołał – tatarzy! – i padł z osłabienia i przestrachu.

Wszyscy porwali się od stołu; gwar, krzyk, zamieszanie, ścisł i zgieł się zrobił po całym zamku. Wszyscy wołali: – Tatarzy! Tatarzy!

Książę Sołomerecki pobiegł do narzeczonej swojej.

– Idź do szabli i konia! – odpowiedziała i znikła.

Strwożony wyjrzał oknem.

Na błoniu za lodami Ikwy, pod lasem, warczał i rozwijał się zagon niezliczony tatarów, który, złodziejską doliną blisko Dubna, niepostrzeżony doszedłszy, nagle wpadł pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych po język. W oddaleniu rozeznac nie można było liczby, powiększonej końmi luźnymi, które tatarowie zwykli byli ze sobą prowadzić dla odmianny – szarzał tylko ten tłum, posuwając się coraz bliżej.

Książę zbiegł na dziedzińce.

Tu siodłano konie, wyciągano działa, zwodzono mosty, lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wiodąc z sobą bydło, konie, wozy.

W monasterze Świętego Krzyża bił dzwon na trwogę ponuro a spieszenie – przestrach był nie do opisania.

Książę-wojewoda zimny, nieporuszony stał na podwórzu i dawał rozkazy gładząc brodę.

Niewielkie hufce gromadziły się kolejno w milczeniu; wszyscy służalcy przybyłych gości siadali na koń, gotowali oręż.

Książę Sołomerecki milczący stanął przy nim i patrzył mu w oczy.

Tymczasem tłuszcza tatarska coraz się zbliżała pod zamek z krzykiem, a raczej piskiem okropnym, nieregularnym tłumem postępując, opasywała warownię, zapuszczając się w opuszczone już prawie przez mieszkańców przedmieścia. Niektórzy murzowie z oddziałami pobiegali pod mury, które oczyma mierzyli, a strzały ich, jak posłańce boju, padały nawet na podwórzec zamkowy; inni, potrząsając długie sznury, przygotowane na jeńców, pokazywali je stojącym na zamku.

Tabor z wozów siadał na dolinie, robiono kilka lichych nad wozami namiotów.

tów. Wszystko to działo się z nieporównaną szybkością, ale mieszkańcy zamku dość spokojnie na przygotowania patrzyli.

Sposobiono kamienie, wodę wrzącą, nabijano działa, roztawiano naokół strażę, mocniejsze po bastjonach i bramach a hufce tam, gdzie grubsze lody mogły dopomódz do wdarcia się na zamek tatarom.

Z tej uczty weselnej, wrzącej wesołością, w jedną chwilę zrobiło się przygotowanie do boju smutne, a przynajmniej poważne i posępne.

Panny i kobiety modliły się po oddalonych komnatach i w cerkwi modliły się i, łamiąc ręce, płakały.

Gdy się to dzieje, a strzały tatarów coraz częściej jakby na urągowisko pod nogi oblężonym padają, wszyscy jeszcze, wyraźniejszej czekając zaczepki, stoją w milczeniu.

Nagle ze wschodów bieży ktoś, w czarnej sukni, na dziedziniec, wpada między stojących i woła:

– Tu strzały świszczą, a wy stoicie jeszcze?

Na te wyrazy głośno wymówione, wszyscy się obracają nawet książę-wojowoda.

– Kto je wyrzekł?

– Panna młoda.

Ona zaplotła kosa, wdziała suknię żałobną, uzbroiła się w miecz, znaleziony gdzieś w opuszczonych komnatach, i pierwsza z zapalonem okiem bieży do działa, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski, do jej uszu dolatują głosy ich dzikie, widzi ich łuki napięte, i szable błyszczące, i wozy i konie, i wśród tej zgrai wznoszący się namiot chana, który w blasku zachodzącego już słońca świeci się purpurą, rozpina się, siada i, z księżycem na czole, grozić się zdaje krzyżom kościołów i cerkwi.

Na ten widok staje księżna Beata, patrzy długo i myśli, i zdaje się, jakby się pocichu modliła. Wszyscy milczą, tylko Bohdan żarłok nabija działa. Księżna celuje niem, wyrывa lont zapalony z ręki puszkarza, przykłada...

I wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę. Za dymem nic nie widać – lecz wiatr zachodni rozpędza go.

Księżna Beata klaska w dłonie.

– Niema namiotu chana, księżyc złoty leży na ziemi, kula go obaliła!

Z obozu tatarów wrzask okropny słyszeć się daje, widać, jak się kupią i gromadzą i jak ruszają z nową wściekłością ku zamkowi.

– Księżno! – odzywa się ktoś z tłumu. – zabiłaś im chana, oni nas wszystkich w pień wytną.

Beata spojrzała w milczeniu z pogardą i kazała nabijać działa; a tatarzy, którzy się tak byli rzucili ku zamkowi, zaczęli zaraz ściągać się, kupić, nareszcie obóz łamać, wozy zaprzęgać i spieszenie dalej zagon popędzili.

A kiedy w oddaleniu przy księżycu widać już tylko było czerniejącą ich zgraję, księżna, otrząsając pył z sukni i ocierając czoło, zawołała do wojewody:

– Teraz czas do cerkwi!

– Idźmy! – powtórzyli wszyscy z zapalem.

Resztę wesela niech kto chce, opisz, ja nie mogę.

Józef Ignacy Kraszewski



Z życia Kościoła - З життя Церкви**NIHIL OBSTAT****STOLICY APOSTOLSKIEJ****w sprawie rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego biskupa Adolfa Piotra Szelażka**

W poniedziałek, 4 marca 2013 roku, Zgromadzenie Sióstr Św. Teresy od Dzieciątka Jezus otrzymało NIHIL OBSTAT Stolicy Apostolskiej w sprawie rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Ojca Założyciela biskupa Adolfa Piotra Szelażka. Kongregacja do Spraw Kanonizacyjnych po konsultacjach z innymi kongregacjami jak np. z Kongregacją do Spraw Kościołów Wschodnich, Kongregacją do Spraw Biskupów, Sekretariatem Stanu, wyraziła swoją pozytywną odpowiedź w sprawie procesu. W piśmie wystawionym dnia 21 stycznia 2013 r., Prefekt Kongregacji do Spraw Kanonizacyjnych Kardynał Angelo Amato napisał, że *„ze strony Stolicy Apostolskiej nic nie stoi na przeszkodzie w sprawie rozpoczęcia procesu Beatyfikacyjnego i Kanonizacyjnego Sługi Bożego Adolfa Piotra Szelażka”*.

Ta wiadomość jest przyczyną szczególnej radości, za którą w tym trwającym Roku Wiary możemy dziękować dobremu Bogu z głębi naszych serc.

W modlitwie polecamy wszystkie osoby zaangażowane w dzieło tworzenia procesu biskupa Adolfa Piotra, wdzięczni za ich trud modlitwy, po-



mocy, dobrej rady. Niech Bóg wynagradza dobro, jakie czynią, i pozwoli się cieszyć owocami tej pracy.

Źródło:

<http://biskupszelazek.republika.pl/aktualnosci.htm>

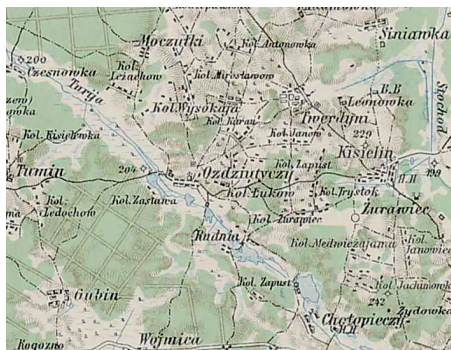


Listy wołyńskie - Волинські листи

„BYŁ TO NIEGDYŚ KRAJ BOGATY...”

Kisielin, w styczniu 1938

Piszę do Ciebie, Droga, list „długi, wy-czerpujący”, o który prosiłaś, z niejakiego Kisielina. Jeszcze jedno „miasteczko” z moich obecnych wołyńskich prac i wędrówek, tak samo nędzne i beznadziejne, jak wszystkie inne! I tak samo niczego nie pamiętne! Była tu mała galówka i szczycono się ze wzniesienia czy też rozszerzenia miejscowej szkoły powszechnej. Mówcy jeden po drugim sławili spreżytość epoki, która na głuchy i ciemny Wołyn niesie blaski kultury Zachodu. Mówcy nadmienili o betonowych krawężnikach, w jakie już wyposażono, czy też wyposaża się właśnie, główną ulicę Kisielina. Mówcy byli pewni siebie, urzędowi i nie-tutejsi. Nieliczna, zabiedzona, nieśmiała publiczność słuchała z pokorą, ale bez entuzjazmu tych wszystkich wyliczeń łask, jakie spływają na Kisielin od lat bez mała dwudziestu i których szczytowym etapem są owe szkoły powszechne oraz krawężniki. A ja się patrzyłem na tych ludzi, czy w którym się co nie ocknie, czy tłum nie rozepchnie, przed stół prezydalny nie wejdzie i nie powie: „Obywatele, uczcijmy pamięć naszego miasta, znacznego, zasobnego grodu! Uczcijmy pamięć jego wiekowego dorobku kulturalnego. Uczcijmy pamięć wyższej uczelni, szkoły uniwersyteckiej, którą miał kiedyś Kisielin. Uczcijmy pamięć jej pedagogów, jednych z najlepszych w owej epoce. Uczcijmy pamięć wielkiego znawcy greczyzny, który tu, w Kisielinie, dokonywał tłumaczeń, tłoczonych następnie w drukarniach frankfurckich. Uczcijmy myśl religijną, polityczną i społeczną, jedną z ciekawszych i samorodniejszych, jaka w Polsce, tym



Kisielin i okolice

– mapa topograficzna z 1910 r.

kraju religijnych nastrojów przy braku religijnej myśli, promieniła z naszego Kisielina! I – obywateli! – ukorzymy się głęboko przed obecną wielką nędzą, żalobą i upadkiem naszego miasta, naszego kraju. Upadku, że już nikt lat dawnych i świetności przeszłych nawet i nie pamięta! Upadku tak głębokiego, że ludzie, co stawiają szkoły powszechne na miejsce uniwersytetów, które tu były, sądzą, że czynią nam łaskę, że ludzie, którzy wybudują gmach Kasy Chorych, mniemają naprawdę, że wnoszą kulturę w kraj dotąd dziki”.

Zdziwisz się sama, gdy powiem, że to wszystko i wiele więcej mógłby każdy mieszkaniec Kisielina wywalić w twarz kulturyzatorom Wołynia. Przeczytaj prace Stanisława Kota, świetnego znawcy naszych dawnych związków z Zachodem, naszej reformacji, socynianów, którzy tyle sił włożyli w szkolnictwo, którym nasz wiek siedemnasty tyle zawdzięcza i których ostatnią prawie twierdzą, po upadku Rakowa, po utracie książęcego Beresteczka, był właśnie Kisielin! Przeczytaj pra-

cę Oresta Łowickiego, innego badacza, o Czaplicach, o Samuelu Przyppowskim, o twórcy Hadziacza, wspaniałej postaci czasów Potopu, rozniesionym na szablach czerni – Jerzym Niemiryczu! Będziesz inaczej myśleć o Kisielinie! Dowiedz się, że tu właśnie inny wołyński szlachcic z pierwszej połowy XVII w., imię pan Ostafi Kisiel, tłumaczył na język grecki dzieło Tomasza a Kempis. Tłumaczenie słało do Frankfurtu, bo drukarnia kisielińska jeszcze greckich zgłosek nie miała. Tak, Droga moja, za Zygmunta Wazy była w Kisielinie drukarnia. Tyle że nie miała greckich czcionek. A jak myślisz, czy dzisiaj jest w Kisielinie drukarnia?

Tylko proszę Cię, zrób mi łaskę i nie wykrzykuj ochów i achów, Że na Wołyniu w w. XVII była drukarnia. Pozostaw entuzjazm ludziom, którzy sądzą, że krawężnikami zaspokajają „*głód Europy*” w tym nieszczęsnym kraju. Pozostaw to maluczkim, którym krawężnik za Europę starczy. Na Wołyniu, Droga moja, były drukarnie nie w XVII, ale w XVI w. Podobno zanosi się teraz na „*zmianę kursu*” polityki wołyńskiej. Podobno chce się tu więcej wnieść Zachodu, łacińskości, polskości. Jestem tak wielkim utopistą, że byłbym rad, gdyby ci, co sobie ten trud zadać pragną, zapuścili żurawia w historię, w owe czasy, gdy łacińskość, Zachód i polskość wlewały się tu najszerszym korytarzem. W czasy gdy nędzniejszy dziś jeszcze od Kisielina Ostróg tłoczył rękami zbiega z Moskwy Iwanowej, drukarza i intelektualisty, pierwsze na całej Rusi słowiańskie tłumaczenie Biblii. W czasach gdy Dermań, wieś dzisiaj zwykła, gdy Poczałów, gdy Międzyrzecz, odpowiadały pismami polemicznymi swych drukarń na pisma najuczeńszych jezuitów, na drukarnie bazylikańską w Krzemieńcu, na socyniański pacyfizm. Teologia – powiesz. Jałowe kłótnie scholastyków, skrzywisz się jesz-

**Ksawery Pruszyński***Fot. Archiwum*

cze. Nie, Droga moja. Tak łatwo wielkości ówczesnych czasów w tym zniszczonym kraju przekreślić się nie da. Powiedzą ci uczeni, powie ci znowuż Kot, powie Stanisław Estreicher, że w owej polemice religijnej XVI w. poruszano najbardziej ludzkie, najgłębsze duchowo sprawy, a także sprawy świeckie wagi najwyższej. Że tam także chodziło o lepszy ustrój społeczny, o położenie kresu krzywdzie i wojnie, że wreszcie w tych teologicznych sporach krzepił się język narodowy, powstawało tworzywo przyszłych literatur. Niełatwo przyszło łacińskości, polskości i Zachodowi zdobyć ten kraj. A wysiłek, jaki go zdobył, był przede wszystkim na miejscu pierwszym, drugim, trzecim,

czwartym i piątym, ogromnym wysiłkiem kultury. Czy wysiłek, dokonywany dziś w tym samym celu, jest przede wszystkim wysiłkiem kultury? I czy wysiłek kultury dokonywany współcześnie na kresach jest wysiłkiem ogromnym? Broszura, napisana przez senatora Rzeczypospolitej, Joachima Wołoszynowskiego, poinformuje Cię, że dziś jeszcze 40 procent dzieci wołyńskich nie jest ogarniętych szkołą...

Powiesz, Droga moja, że w owej epoce, przed którą, po wielotygodniowym grzebaniu się w przeszłości Wołynia, po wielotygodniowym patrzyeniu w jego dzień dzisiejszy, chylić muszę czoło, czytali wprawdzie po grecku i łacinie książęta Ostrogscy, Zbarascy czy Koreccy, ale nie czytało wcale nie 40% dzieci, lecz 90% całego narodu. Tak, to prawda. Niestety jednak, prawda ta nic nie zmienia. W owych czasach masy nie czytały nie tylko na Wołyniu. Masy nie czytały również w Wielkopolsce, a nawet we Flandrii, w Ile de France, a górskie kantony późniejszej Szwajcarii przypominały Zakopane z czasów księdza Stolarczyka. Taki bowiem był cały świat ówczesny. Zapewne Wołyń ówczesny stał w tym świecie na dalszym miejscu niż Flandria czy Palatynat, ale do tego świata należał. Między nim a Flandrią i Palatynatem, najbogatszymi, najbardziej kulturalnymi krajami Europy, istniał może dystans, lecz nie było przepaści. Czy „przepaść” nie jest zbyt dramatycznym słowem na określenie tego, co w roku 1937 istnieje między naszym Wołyniem a krajami Zachodu? Sądzę, że tego nie powiesz. Pamiętasz chyba nasze piesze wycieczki po południu baskijskim Francji, polne drogi asfaltowe, garaże przy starych chatkach, wsie zapadłe w górach, gdzie pamięć o analfabetyzmie dal-sza jest dziś niż wspomnienie o kołtunie na wsi podwarszawskiej? Tysiące naszych rodaków, których system paszportowy

zdołał oddzielić od Zachodu, setki innych, którzy ów Zachód znają jedynie z ogłupiających wycieczek stadnych, będą o tym może wątpić. Jednak ci wszyscy, którzy widzieli nie tylko Unter den Linden, ale i wieś niemiecką, nie tylko wieżę Eiffla, ale jakieś Ixassou, wciśnięte w Pireneje, nie tylko Kopenhagę, ale i wieś jutlandzką, a którzy potem albo przedtem mieli nie-szczęście znać naszą wieś, przyznają nam jednak, niestety, że słowo „przepaść” na określenie tej granicy, jaka między nami a Zachodem zapadła, nie jest słowem zbyt wielkim, zbyt dramatycznym. Ale nawet i my, którzyśmy tę tradycję tak niedawno jeszcze oglądali, jesteśmy jak mieszkańcy Kisielina. Przyzwyczailiśmy się do nędzy. Przywykliśmy do zaco-fania i poniewierki. Traktujemy to jako konieczność, normalność. Myślimy wprawdzie o tym, że między Polską dzisiejszą i dzisiejszym Zachodem istnieje przepaść cywilizacyjnej natury, wiemy od Adama Krzyżanowskiego (choć starano się nam to tyle razy zagadać), że przepaść tej pauperyzacji nie maleje, ale rośnie, to prawda. Nie przychodzi nam jednak na myśl dręczące pytanie, czy ta przepaść i dawniej istniała i czy zawsze była tak głęboka? Nie przychodzi nam i inne, może jeszcze wstydlwsze pytanie. Czy i dawniej byliśmy nędzarzami, jak dzisiaj nędznieliśmy z roku na rok? Oto na Wołyniu, w toku pracy dla mego wydawnictwa, nie mogłem sobie na to pytanie odpowiedzieć przecząco. Zbyt wiele śladów dawnej świetności niszczy tu jeszcze. Nie, Droga moja. Tragizm połaci ziem większych od Kisielina polega nie tylko na tym, że bliższe są Abisynii niż Nadrenii. Tragizm ten jest głębszy od tego, co się współcześnie o tym myśli. Polega on jeszcze i na tym, że dawniej byliśmy bliżsi Nadrenii. Nawet nie byliśmy jej dalecy cywilizacyjnie. Polega także i na tym, że kraj, dzisiaj nędzny, ongi był

bogaty i dostatni. O tych dwóch prawdach zapomnieliśmy tak samo, jak zapomnieli mieszkańcy Kisielina o erze Czapliców, Kisiela, Niemirycza.

Wiem z góry, że w odpowiedzi na to wszystko będziesz się starała włożyć cały swój polski i kobiecy optymizm. Że jednak ślady dawnej przeszłości nie znikają ani na Wołyniu, ani w Polsce, niczym krępujący świadkowie albo niewygodne dokumenty. I że tworzą się rzeczy nowe, wartości inne. Żałuję, że nie znasz choćby Łucka. Żałuję, że nie widzisz, jak mury zamku Lubarta służą za podporę ćwiczebnym instalacjom straży pożarnej, jak na grobowym miejscu dawnych książąt Wołynia i namiestników litewskich rośnie faślola, buraki i pietruszka pań komendantowych tejże straży. Tak jest w Łucku, gdzie jeszcze się mówi o tym, że dziedzicami owych książąt udzielnych było Wielkie Księstwo i była Korona, a ich z kolei dziedzicami jest dzisiejsza Rzeczpospolita. A jak jest gdzie indziej? Zwierciadlana sala jednej z najpiękniejszych rezydencji w Polsce, Wiśniowca, służy za salę lokalnemu kinematografowi miasteczka za 150 zł miesięcznie. Jeden z najpiękniejszych w Polsce barokowych plafonów niszczał, odkąd nad nim urządzono umywalnię. Zapytasz, w czym rękę jest dzisiaj zamek w Wiśniowcu, jakiego to podupadłego magnata skusiło owych zł 150? Magnat ów nie jest zgoła podupadły. Posiada kilkanaście tysięcy hektarów, wielkie przestrzenie leśne, hojne i wolne od podatku nadania. Nosi nazwisko o największych na Wołyniu kulturalnych tradycjach. Nazywa się Liceum Krzemienieckie. Ów szczególny szacunek dla przeszłości, jaki zaczyna cechować tę instytucję – i nie tylko tę instytucję – nie ogranicza się jedynie do Wiśniowca. Zdrowe tendencje merkantylne nie tylko tutaj dworują sobie z zabytków. Nie tak dawno, aby założyć popłatne stawy rybne,

rozkopano, nie uprzedziwszy nawet konserwatora, cenne kurhany czy grodziszczka. Biskupiny, to dobre w Poznańskim...

Nigdzie nie jest tak łatwo mierzyć głębie obecnego upadku, jak na śladach dawnej świetności. W naszej korespondencji o Wołyniu prędzej czy później musiałyby paść słowo – Liceum Krzemienieckie. Zapewne rzuciłabyś je Ty, aby dowieść, że przecież coś jest na tym Wołyniu, co „kontynuuje nasze najlepsze tradycje”. Że jeszcze w r. 1919 przywrócono do życia sławną szkołę Czackiego. Istotnie, dla ludzi, którzy Wołynia nie znają, nadzwyczaj łatwo jest wymienić jednym tchem obie te uczelnie, w odstępie stu lat mieszczące się w tych samych murach i tej samej używającej nazwy. Prawda wygląda mniej okazale. Prawda przedstawia się tak, że wielkie Liceum sprzed wieku było wyższą uczelnią, uniwersytetem pozbawionym jedynie tej nazwy, obecnie Liceum jest luźnym zespołem kilku szkół o programie naszego szkolnictwa średniego, jeśli nie niższego. Tam w nazwie skromnej mieściła się treść od nazwy tej większa, tu w nazwie uświetnionej tradycją mieści się treść dużo, dużo skromniejsza. Wielkie Liceum Czackiego zebrało niegdyś pod swój dach najlepszych uczonych polskich, ściągało i uczonych zagranicznych, których imię zapisało się w dziejach nauki. Na czele tej wspaniałej uczelni stali ludzie nauki, jak Czech, jak Osiński, jak Feliński, sławni wówczas, pamiętni i potem. Na czele tej uczelni w r. 1937 stoi, zacyz zresztą, były starosta. Signum temporis nostri. Tak wygląda świetność naszych czasów. Tak wygląda nie tylko ich dystans od Europy. Tak wygląda ich dystans od czasów Czackiego i Kołłątaja, czasów niewoli. Wołyń odrodzonej Rzeczypospolitej.

I przyznam się, że jest mi przykro, gdy mieszkańcy Kisielina dziękują pokornie za krawężniki i szkołę powszechną. Przyznam się, że jest mi przykro, gdy inteli-

gent polski sądzi, że tamten i ten Krzemieniec jest tym samym, że dziś jest tu tak, jak ongi, a ongi było tak, jak jest dzisiaj. A niestety, nasza prasa jest ciemniejsza od najciemniejszego z jej czytelników. Oto w Dermance uruchomiono fabrykę naczyń porcelanowych, wystawiono je na Targach Wołyńskich, i „czerwoniaki” wpadały w ekstazę. Fajans wołyński ma być eksportowany do Kafrów i Zulusów! Najjaśniejsza Rzeczpospolita wskrzesza wielkie tradycje Korca! – Przyznam się, że oglądałem z zakłopotaniem te najnowsze wyroby ceramiki wołyńskiej, grube talerze i ciężkie kubki, przeznaczone na wywóz do kolonii holenderskich i dla ludności murzyńskiej Transwalu. Kolonie niderlandzkie są jednymi z najbiedniejszych kolonii, jeśli chodzi o standard życia ludności, Murzyni są proletariatem kraju diamentów. Kolorowy proletariatus nie stać na szkła szwedzkie i fajanse angielskie, nie stać go nawet na Ćmielów i Pacyków, na dumping japoński. Stać go tylko na wołyńską Dermankę. Żałuję, że nie widziałem tych, którzy pracują dla pariasów kolonialnych, którzy stoją niżej od pariasów kolonialnych. Tradycje Korca! Czy kto wie jeszcze, że Korzec to była fabryka porcelany zdumiewająca Europę wdziękiem i pięknem swych wyrobów, że wyparła z naszego kraju sewry, drezny i altwiny, że ma dziś jeszcze miejsce zaszczytne w gablotach nie byle jakich muzeów, że Wołyń pracował niegdyś dla najmożliwszych i możliwych, gdy dziś szuka okruszków z zarobków pariasów? Czy kto widział sznury pociągów wywożące stąd kaolin, glinę porcelanową, do obcych, dalekich wytwórni, jak z kolonii wywozi się surowce do uprzemysłowionych metropolii? I pomyślał, że jednak nie zawsze ten kraj był kolonią? Że w Korcu były fabryki sukna i przędzalnie jedwabiu, że tak było w Sławucie, w dziesięciu innych miejscach, a było w czasach, gdy załed-

wie powstał Żyrardów, a jeszcze nie było Łodzi?

Pomniki przeszłości innej niż teraźniejszości niszczy tu tak, jakby chodziło komu o to, żeby nie pozostało ni śladu, iż ten kraj nie zawsze był dżunglą, przez którą trzeba wylaamywać chodniki. Że za doprowadzenie tego kraju do tego stanu będzie musiał ktoś odpowiadać. Powstają za to pomniki współczesności. Zwiedzałem kamieniołomy w sarnieńskim Klesowie, zakupione przez jeden z naszych samorządów zachodnich. Samorząd chciał mieć materiał na budowę dróg i chciał zdobyć go we własnym zakresie. Kupił więc tereny, zaczął eksploatować. Okazało się to zbyt kosztowne. Postanowił przeto przedsiębiorstwo wyzyskać. Przeszedł na budowę pomników. Od razu też wybudował na miejscu, w lesie, grzeczny pomniczek swemu żyjącemu i urzędującemu wojewodzie. Zapewne dla wprawy (Jak sądzisz, Droga moja, czy generał-gubernatorom wołyńskim wznoszono pomniki?) Ale i pomniki nie są dość rentowne. Tedy samorządowy kamieniołom ma przejść na budowę nagrobków. Etyczym zna nie tylko tak niewinne sposoby dostarczania posad swoim ludziom, jak monopolizowanie przez państwo fabrykacji soku malinowego. Na Wołyniu troszczy się również o cmentarne bytowanie obywatela. Jest w tymże Klesowie parę dychawicznych kamieniołomów prywatnych, trudno, nie za każdym stoi pełna kieszeń samorządowych kas. W jednym z tych kamieniołomów zainstalowano niedawno doskonały dźwigar. Kupiony został na wagę żelaza, jak na szmelc, przy licytacji pewnej warszawskiej firmy. Dobrze jeszcze, że owej precyzyjnej maszyny nie użyto naprawdę na szmelc. Ten dźwigar to także pomnik. Pomnik dziejów uprzemysłowienia Polski.

Ale nie można powiedzieć, aby nowocześnie dzieje kresów nie załatwywały fan-

tazją sarmatyzmu, powiewem Soplicowa i Dobrzynia. Nawet etatyzm ma tu swoich Gerwazych i swoich Stadnickich. Dzieje kniaziego grodu Włodzimierza mogą być tego dowodem. Nie znasz tej ślicznej historii? Więc rzecz dzieje się parę lat temu. Pisały o tym gazety, ale, ostatecznie, chodziło tylko o „głębokie kresy”... Jest w mieście elektrownia i o nią właśnie toczył się proces między dotychczasowym właścicielem a miastem. W jednej z instancji wygrywa miasto. Niemniej sędzia, mocą władzy sędziowskiej, zarządza wstrzymanie wykonania wyroku. Burmistrzowi Włodzimierza jest to nie w smak. Zbiera swoich ludzi magistrackich, wpada (*„kupą, mości panowie, kupą”*) – mawiał o takich okazjach pan Zagłoba), wyrzuca sędziowskich ludzi, obejmuje elektrownię siłą. Władza administracyjna ogłasza swoją „neutralność”. Którym to wiekiem Ci pachnie, dwudziestym czy siedemnastym? Potem jest proces. Szereg ludzi zostaje skazanych za gwałt publiczny, siedzi. Burmistrz otrzymuje karę z zawieszeniem. Nie siedzi. A raczej, niedługo po tym czynie, zaczyna posłować do sejmu. Nie siedzi, ale zasiada. Na Wiejskiej. Znasz te wołyńskie wybory, które wzbudziły powszechne zdziwienie olbrzymim procentem oddawanych głosów. Jest przedstawicielem osadników wojskowych. A zatem tego elementu, który przyszedł na Wołyni wzmacniać prawo i polskość. Powiesz, że czasy saskie są na Wołyniu niepożyte? Moja Droga, nie sądz tak źle o czasach saskich. Były to czasy, które odznaczały się aż nadmiernym legalizmem złego, niestety, prawa.

I wierzaj mi, niejeden jest Kisielin i niejeden Wołyń. To samo widział Iwaszkiewicz w Sandomierzu i Leżajsku. To samo stwierdza nie pomawiany o szlachetczyznę (gdybyście naprawdę raczyli spostrzec, gdzie to leżą najgrubsze zwali-

ny „szlachetczyzny” współczesnej Polski!) Jan Stachniuk. Byliśmy kiedyś bogaci jak inne narody, oświeceni jak inne narody, i sprawy nasze były bliższe sprawom Flandrii niż Moskwy, Albionu niż Abisynii. Mieliśmy świadomość takiej przeszłości. W r. 1791 nie był rewelacją krakowiak Bogusławskiego, rzucający ze sceny ku lożom moskiewskim. *„Był to niegdyś kraj bogaty, ludny i wesoły. Obcy wpadli nam do chaty. I kradną stodoły”!*

Ta świadomość zatraciła się dużo, dużo później. Doszczętnie zatraciła się dopiero teraz. Zatraciła się jednak tak dalece, że już przeciętna „prowincja” nie wie, czy to z „odwiecznej” ciemnoty wychodzimy via krawężniki na światło, czy przeciwnie, sami o tym nie wiedząc, pograżamy się z wolna w gęstniejący dookoła mrok. Wiemy, że jest źle. Nie sposób przed nami ukryć ogromów przepaści, jakie między nami a krajami Zachodu cywilizacyjnie zaległy. Nie zagada się ich okrzykami na cześć zwiększającej się o trzy sztuki na miesiąc liczby taksówek w Warszawie. Ale z tego, że kiedyś było inaczej, już nie zdajemy sobie sprawy. Że kiedyś nie byliśmy pariasami kultury, o tym każe się zapomnieć. I ogół zapomniał o tym tak, jak Kisielin o swej tradycji socyniańskiej. Pomniki, niewygodne świadki, niszczej. Nauka historii jest trzebiona z tego wszystkiego, co mogłoby tworzyć w umysłach niebezpieczne horyzonty porównania. Mamy porażone zwoje mózgowo-pamięci. W mroku nasze oczy widzą niedobrze. To, że jest mrok, dostrzegają, a także szukają winnych tego, że tak właśnie jest. Ale dojrzą tylko Żydów i masonię, pańszczyznę nawet i szlachtę, i endecję, i jeszcze raz Żydów, i jeszcze raz ziemian. Tylko jednego nie dojrzą. Prawdy.

Ksawery Pruszyński

[„Wiadomości Literackie” 1938, nr 5].

Z prasy polskiej na Ukrainie - З польської преси в Україні

O DIALOGU W SPRAWIE WOŁYŃSKIEJ

„Warszawska misja” biskupa Wenedykta, czyli słów kilka o dialogu katolickich Kościołów na Ukrainie w sprawie tragedii wołyńskiej

Każde z ludobójstw wyrastało ze skomplikowanych uwarunkowań historycznych. Czy apelując o uwzględnienie kontekstu, w którym doszło do zagłady dziesiątków tysięcy ludzi chcemy umożliwić wytłumaczenie intencji tych, którzy popełniając ludobójstwo torowali drogę do szczęśliwego życia w niepodległym państwie dla własnego narodu?

Idąc tą drogą czy nie zbliżymy się do „zrozumienia” intencji autorów Holokaustu, rzezi Ormian czy Wielkiego Głodu na Ukrainie? – pisze Jan Buszcz komentując wypowiedzi władzy Wenedykta i abpa Mieczysława Mokrzyckiego w sprawie listu pasterskiego z okazji 70. rocznicy tragedii wołyńskiej.

W dniach 5-6 marca w Warszawie odbyło się 361. zebranie plenarne Konferencji Episkopatu Polski poświęcone refleksji nad minionym pontyfikatem papieża Benedykta XVI, a także innym ważnym kwestiom w życiu Kościoła w Polsce i na świecie. O wadze tego forum świadczą obecność kilkunastu biskupów-gości z Białorusi, Czech, Francji, Kazachstanu, Litwy, Mołdawii, Rosji, Słowacji, Ukrainy i Węgier.

Agencja KAI poinformowała o wystąpieniu abpa Mieczysława Mokrzyckiego, metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego. Hierarcha z zaniepokojeniem poinformował o trudnościach w wypracowaniu wspólnego listu pasterskiego Ko-

ścioła rzymskokatolickiego na Ukrainie i ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego poświęconego 70. rocznicy „tragedii wołyńskiej”.

Ze słów hierarchy dowiedzieliśmy się, że zaproponowany przez stronę greckokatolicką projekt pisma w żaden sposób nie odniósł się do wydarzeń, smutny jubileusz których przypada w tym roku, a symbolem których „stała się Krwawa Niedziela 11 lipca [1943 r.], kiedy formacje ukraińskich nacjonalistów zaatakowały prawie 100 miejscowości, gdzie mieszkała ludność katolicka, przeważnie polska”. Zamiast potępić zbrodnię i ideologię, która je spowodowała biskupi greckokatolicki zaproponowali tekst zawierający tak rażące „nieścisłości” historyczne, że podpisanie pisma stałoby się kompromitacją Kościoła rzymskokatolickiego „stawiając świadectwo relatywizowania odpowiedzialności moralnej w przypadku wydarzenia, które ma aż nader jednoznaczny oczywisty wydźwięk”.

Według zgodnej oceny historyków obydwu krajów na samym Wołyniu zginęło wówczas ponad 60. tys. cywilów. W proponowanej przez greckokatolickich autorów wersji pisma ten fakt określał się jako „przymusowe wysiedlenie ludności polskiej”...

Trzeba zaznaczyć, że strona greckokatolicka, która wystąpiła z inicjatywą wspólnego listu nie chciała przy tym przyjąć uwag i propozycji wystosowanych przez rzymskokatolickich współbraci. Odrzucona została propozycja wspólnego modlitewnego wspomnienia ofiar rzezi w drugą niedzielę lipca i organizacje

godnego pochówku szczątków ofiar rzezi. Lwowski arcybiskup zaznaczył, iż obecnie w ponad 2 tys. miejscowości nie ma znaków upamiętniających ślady zbrodni, a kości ofiar dość często pozostają nie pochowane i narażone na bezczeszczenie.

Smutna sytuacja, ale odzwierciedla kondycję Kościoła na Ukrainie, o czym wielokrotnie się mówiło.

Ze swoją ripostą wystąpił zaproszony na zebranie biskupów polskich greckokatolicki hierarcha – władca Wenedykt, biskup pomocniczy ze Lwowa. Szokująco zabrzmiały słowa biskupa katolickiego (!!!) Wenedykta, iż opinia lwowskiego metropolity, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Ukrainy, wybranego na to stanowisko przez biskupów rzymskokatolickich (jego kadencja rozpoczęła się 3 listopada 2008 roku i ważna jest do dziś) „nie odzwierciedla opinii całego episkopatu rzymskokatolickiego na Ukrainie”. Nie jest to zdanie wyrażone w kuluarach (choć i tam nie godzi się tak dyskredytować swego współbrata w biskupstwie), ale podana do Katolickiej Agencji Informacyjnej w majestacie urzędu, który spoczywa na hierarsze greckokatolickim. Biskup Wenedykt, jak zaznacza oficjalna strona internetowa ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego przybył „z polecenia najprzewielebniejszego Światosława, głowy UKGK, jako przedstawiciel naszej cerkwi”. Czyli zdaniem zwierzchności kościoła greckokatolickiego abp Mokrzycki, jako przewodniczący konferencji episkopatu Ukrainy, nie reprezentuje opinii całego episkopatu, kiedy w swym przemówieniu podkreśla – „w opinii ukraińskich biskupów obrządku łacińskiego”, „w opinii biskupów obrządku łacińskiego”? Czy nie jest to wymowne świadectwo jak traktowany jest kościół rzymskokatolicki przez swych współbraci?

W tej sytuacji bardziej zrozumiała staje się gremialna absencja biskupów

greckokatolickich na uroczystościach 600. lecia biskupstwa łacińskiego we Lwowie, którym przewodniczył osobisty delegat Ojca Świętego; na rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego biskupa Rafała Kiernickiego, wielkiego duszpasterza ludności greckokatolickiej, ale łacinnika...

Szokująca sytuacja. Trudno się nie zgodzić z abp. Mokrzyckim, który podsumowując nieudany dialog zadaje pytanie, wychodzące poza obręb „sprawy Wołynia”: „W tej sytuacji powstaje pytanie – czy mamy właściwy klimat dla przygotowania wspólnego listu? Czy istnieje wspólna płaszczyzna, byśmy mówili jednym głosem w tak ważnej sprawie?”

Wypowiedź w czasie „misji warszawskiej” wysłannika głowy ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego wywołała zdumienie i żal. Jednak dyskredytacja przewodniczącego komisji episkopatu Ukrainy Kościoła rzymskokatolickiego to nieodosobniony incydent w działalności na polu dialogu międzykościelnego biskupa Wenedykta. Niecałe dwa miesiące temu prawosławny biskup lwowski i haliński Filaret wystąpił z pełnym żalu listem otwartym skierowanym do abpa Światosława w związku ubliżającymi uwagami sufragana lwowskiego wobec działalności Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Napisał, że spowodowały one „masę oskarżeń pełnych złośliwości i nienawiści w internecie i lokalnych mediach”.

Bp Wenedykt przedstawiając stanowisko swego Kościoła w kwestii wspólnego listu, zaznacza, że trudno mu przemawiać w tej sprawie, gdyż na Wołyniu „po likwidacji przez władze carskie w połowie XIX w. nie było grekokatolików”.

Rzeczywiście, po totalnej kasacji unii w 1839 r. Kościół greckokatolicki przestał istnieć na Wołyniu, ale w okresie międzywojennym doszło do szczątkowego odrodzenia. Nieliczni duszpasterze grekokatolicy z Wołynia w okresie II wojny

światowej padli ofiarami banderowskich mordów. O. Kasjan Józef Czechowicz i br. Sylwester Hładzio, kapucyni obrządku wschodniego, ks. Józef Gaduciewicz, proboszcz w Zasławcu i Kuśkowcach Wielkich, s. Jadwiga Gano i s. Maria Ossakowska sercanki bezhabitowe w obrządku wschodnim z Lubieszowa, ks. Stefan Jarośiewicz, proboszcz w parafii Żabcze. Warto zapamiętać imiona tych męczenników i ogarnąć ich modlitwą Kościoła, któremu oni służyli. A może bp Wenedykt, jako syn Ziemi Wołyńskiej zadba także o to, żeby przynajmniej na miejscu ich kaźni powstały krzyże...

Władyka wspomina „*udane akty porozumienia*” między episkopatami Polski – rzymskokatolickim – i Ukrainy – greckokatolickim. Zdaniem hierarchy dobrze służyły one temu, o co prosił papież Jan Paweł II, kiedy mówił, że trzeba „*oderwać się od bolesnej przeszłości, przebaczyć doznawane krzywdy i budować przyszłość bez uprzedzeń*”.

Czy oderwaniem się od bolesnej przeszłości, zdaniem hierarchy jest zapomnienie o ofiarach, nie upominanie się o ich upamiętnienie? Czy takim oderwaniem się jest nie tylko tolerowanie ideologii, która doprowadziła do ludobójstwa, ale i zachwalanie jej z katedr greckokatolickich? Czy ideologia nacjonalizmu to tylko przeszłość? Otóż nie! Skoro początek roku Bożego na całym świecie katolickim będący okazją do modlitwy o pokój według wrażliwości i sumienia najwyższych hierarchów greckokatolickich jest powodem czczenia Bandery w rocznicę jego urodzin.

Greckokatolicki arcybiskup lwowski Ihor Woźniak bez najmniejszej wątpliwości nazywa lidera OUN „*skarbem narodu*” i wygłasza rzewne homilie na cześć działacza, którego gloryfikacja wywołała zaniepokojenie nawet Parlamentu Europejskiego. Czy zapomnieniem urazów i

drogą do pojednania ma być rozpoczęcie Roku Wiary naukami wiary „*jako fundamentu w walce o niepodległe państwo*”, których udziela tenże Bandera z oficjalnej strony internetowej greckokatolickiego Seminarium Duchownego św. Ducha. Czy nie zakrawa to na bluźnierstwo?

Biskup apeluje o uwzględnienie kontekstu, w którym doszło do zagłady dziesiątków tysięcy ludzi. Czy zdaniem hierarchy da to możliwość wytłumaczenia intencji i wrażliwości tych, którzy pełniąc ludobójstwo torowali drogę do szczęśliwego życia w niepodległym państwie dla własnego narodu? Idąc tą drogą czy nie zbliżymy się do „*rozumienia*” intencji autorów Holokaustu, rzezi Ormian czy Wielkiego Głodu na Ukrainie? Zapewne każde z tych ludobójstw wyrsało ze skomplikowanych uwarunkowań historycznych.

O tym, jak szczery był wywiad udzielony polskiemu mediom niech świadczy taki fakt: pytany przez agencję KAI czy jest jeszcze możliwe wypracowanie wspólnego orędzia bp Wenedykt powiedział, że tak, jeżeli jest wola z obu stron. A tymczasem dwa tygodnie wcześniej 25 lutego jedna ze stron – synod biskupów greckokatolickich – na swej 59 sesji uchwalił jednostronnie orędzie synodu biskupów kijowsko-halickiego arcybiskupstwa większego ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego z okazji 70. rocznicy tragedii wołyńskiej.

Jan Buszcz

[„Kurier Galicyjski” nr 5 (177)
z 12-25 marca 2013 r., s. 3.]



Znani Wołynianie - Відомі волиняни

MICHAŁ CZAJKOWSKI
– SZLACHCIC Z WOŁYNIA

Największe zainteresowanie u polskich pisarzy i poetów budziła Ukraina w epoce romantyzmu. Halina Krukowska ujęła to zjawisko w następujący sposób:

„U źródła fascynacji romantyków regionem ukraińskim leżało przede wszystkim poznawczo-estetyczne nastawienie epoki, waloryzujące ludowość, dawność, egzotyzm, indywidualność jego kultury duchowej i krajobrazowej. Ukraina, zdaniem romantyków, posiada najoryginalniejszy, najbardziej indywidualny spośród innych ówczesnych regionów ojczystych – koloryt lokalny. Mając to na uwadze, Maurycy Mochnacki powiedział, że Ukraina, «prawdziwie jest to Szkocja Polski»» [1].

W polskiej literaturze nawet powstała szkoła ukraińska do której tradycyjnie są zaliczani Juliusz Słowacki, Seweryn Goszczyński, Bohdan Józef Zaleski, Antoni Malczewski. Wśród pisarzy tematyka ukraińska była przedmiotem zainteresowań Tomasza Padury, Tomasza Olizarowskiego, Michała Grabowskiego i Michała Czajkowskiego.

Naród zamieszkujący na Prawobrzeżnej Ukrainie w XIX wieku można podzielić na trzy kategorie: „lojalistów”, którzy byli lojalni wobec carskiego reżimu, „polskich patriotów”, celem których było odzyskanie państwa w granicach obowiązujących za czasów Jagiellonów i „ukrainofilów”. Ci ostatni mieli bardzo mocny kontakt z lokalnym patriotyzmem, promowali pojęcie małej ojczyzny. Do nich jest zaliczany Michał Czajkowski, postać niejednoznaczna w polskiej literaturze. Osoba, której działalność jest odbiera-



Michał Czajkowski – Sadyk Pasza
Fot. Wikimedia Commons

na często negatywnie i o której rzadko się mówi jako o pisarzu, częściej jako o działaczu politycznym. Obecnie jest zapomniany. Nie jest przedmiotem częstych dyskusji, jego utwory nie są uwzględnione w kanonie lektur, chociaż był jednym z niewielu, którzy od słowa przeszli do czynu, od pióra do dyplomacji, a potem i do broni.

Czajkowski urodził się w 29 września 1804 roku w Halczyńcu Wołyńskiej

guberni w majątku swoich rodziców. Jadwiga Chudzikowska twierdzi, iż rodzina wywodziła się z Mazowsza:

„Czajkowscy herbu Jastrzębiec wywodziłi się z Czajek mazowieckich w powiecie rawskim. Była to familia licznie rozrodzona, po większej części zagrodowa. Czajkowscy biedni, ale bytni, pysznili się swoim klejnotem, tym samym, którym pieczętowali się Zborowscy.

Na Mazowszu żyło się niezbyt dostatnio, nic więc dziwnego, że Czajkowskich skusiła ziemia ukraińska, «tłusta, rada z siebie, uśmiechnięta, co rodzi na zawołanie, ledwoś ją sochą tknął». A może bardziej nęciła ich perspektywa «kozakowania» po stepowych rozlogach» [2].

Rodzicom Michała dobrze się wiodło na Ukrainie, gdyż mieli jeszcze fabrykę szkła w Czudnowie, Czudnowską Hutę i futory Bukówka, Szaniawka i Kręty Potu, ogólnie do panów Czajkowskich były przypisane 273 osoby płci męskiej, przynoszące roczny dochód w wysokości 989 rubli [3].

Sam Czajkowski wspomina, że już od młodości uczono go żyć po kozacku:



Kościół w Międzyrzeczu Koreckim

Fot. Irena Dejneka

„Matka moja, pomimo miłości do swojego jedyne go syna, starała się zrobić ze mnie kozaka duszą i ciałem. Gończe, konie, sokoły – tego wszystkiego miałem do przesytu» [4].

Pierwszą szkołę życia sprawił małemu Michałowi jego wuj Michał Głębocki, który miał antyrosyjskie poglądy. To jego wujek stał się potem bohaterem jego utworów, idealnym kozakiem i dobrym szlachcicem, wzorcem jak na jednej ziemi mogą żyć w zgodzie kozak i szlachcic.

Po okresie początkowego nauczania Czajkowski kształcił się w Berdyczowie, w szkole Anglika Wolseya, a potem u pijarów w Międzyrzeczu Korzeckim, gdzie wpajano uczniom kult kozackiej przeszłości oraz przekonanie, że Ukraina jeszcze nie wypowiedziała ostatniego słowa w historii i gdzie także panowała atmosfera kozakomanii.

Młodość Czajkowskiego kształtowała poglądy polityczne i literackie Czajkowskiego, więc jako prawdziwy patriota bierze on udział w powstaniu listopadowym, a po upadku powstania cały jego majątek zostaje skonfiskowany przez władze carskie, za udział w powstaniu. Sam Czajkowski jest zmuszony do opuszczenia ojczyzny i emigracji do Francji. Przełomowym w jego życiu momentem była znajomość z Mickiewiczem i wystąpienie z referatem w Paryżu.

Podstawą dla całej twórczości Michała Czajkowskiego był wygłoszony w 1835 roku referat zatytułowany Wpływ tradycji i pieśni ludowych na literaturę polską. Referat był wygłoszony w języku francuskim, po raz pierwszy przetłumaczony został na język polski dopiero w 1986 roku przez Zofię Wójcicką. Celem referatu jest przedstawienie problemu ukraińskiego jako wcześniej nieznanego, ale ważnego dla polskiej literatury, gdyż, zdaniem Czajkowskiego, dopiero od Romantyzmu zaczyna się prawdziwa polska

literatura. Widzimy w referacie Ukrainę jako część wielkiej Rzeczypospolitej:

„Żaden naród na świecie nie posiada tak bogatej i różnorodnej tradycji jak Polacy, gdyż nie opowiada o wojnach z Niemcami, z rycerzami teutońskimi i tureckimi mieczami, o podboju Litwy, walkach Kozaków z Tatarami i wyprawach przeciwko islamowi, które nieraz wzbudzały trwogę w Rumelii i Anatolii. Równiny Polski, stepy Ukrainy i lasy Litwy noszą ślady walk. Nie ma tam pędzi ziemni, która nie była polem walki, wsi bez bohatera, ani kurchanów zwycięzców i zwyciężonych. W momentach zwrotnych państwa uczyniono kołodzieja królem Polski, prostego Kozaka obdarzono godnością atamana; wszędzie skłaniano się do równości, która cechuje słowiańską rasę zmienioną w ostatnim okresie ustroju wspólnoty pierwotnej przez wzniosłą naukę Chrystusa” [5].

Czajkowski pozostał wierny swoim poglądom przez całe życie. Całe życie tęsknił też za swoją Ukrainą. W „Wernyhorze” już na samym początku utworu widać tęsknotę za małą ojczyzną: *„O luba kraiino ! Któżby cię widział a nie pokochał, a pokochawszy, nie chciał żyć i umierać na tej błogiej ziemi!”* [6]

Marceli Handelsman pisze o nierozrwalności Czajkowskiego z Ukrainą:

„Z Ukrainą był zrośnięty do głębi swej duszy i to w sposób dla dzisiejszego pokolenia już prawie niezrozumiały. Był on Ukraincem, jak tyłu innych stamtąd rodem, jak Mickiewicz był Litwinem, ale ta Ukraina – Ukraina pańska, a zarazem kozacka, na poły rzeczywista, a poły widziana przez pryzmat tradycji Głębockich, lecz i Brzuchowieckich, przez pryzmat własnej pamięci dziecinnej i wyobraźni, była czymś nieodłącznym od Polski, jej częścią odrębną i najistotniejszą, a zarazem czymś z Polską identycznym. Kiedy

mówił o Polsce, oczami fantazji widział swoją Ukrainę. A kiedy pisał o Ukrainie, nie potrafił oddzielić jej od Polski, tej swojej własnej Polski” [7].

Z myślą o odzyskaniu niepodległości jedzie na prośbę Czarotoryskiego do Stambułu, tam nawet zostaje poddanym sułtanowi i bierze imię Sadyk Pasza, a po długich latach starań i niezrealizowanych marzeń wraca na Ukrainę.

Czajkowski pozostawił duży dorobek literacki (dwanaście tomów) i polityczny. Zmarł śmiercią samobójczą; istnieje wersja tłumacząca jego samobójstwo tym, że nie podołał swoim życiowym ambicjom – nie utworzył Państwa Trojga Narodów.

Paweł Lewczuk

Przypisy:

[1] Krukowska H., „Szkoła ukraińska”, w: „Historia literatury polskiej”, t. 5, „Romantyzm, Cześć pierwsza”, Bochnia-Kraków 2003, s. 246.

[2] Chudzikowska J., „Dziwne życie Sadyka Paszy”, Warszawa 1971, s. 20.

[3] „Дело о конфискации имений, принадлежащих усатникам восстания 1831 года”, w: Państwowe Archiwum Województwa Wołyńskiego, 1, ar. 46, 133-134.

[4] Czajkowski M., „Pamiętniki”, Lwów 1898, s. 9.

[5] Czajkowski M., „Wpływ tradycji i pieśni ludowych na literaturę polską”, w: Wójcicka Z., „Paryski okres działalności i twórczości Michała Czajkowskiego”, Warszawa-Poznań 1986, s. 113-114.

[6] Czajkowski M., „Wernyhora”, Tom I, Warszawa 1924, s. 39.

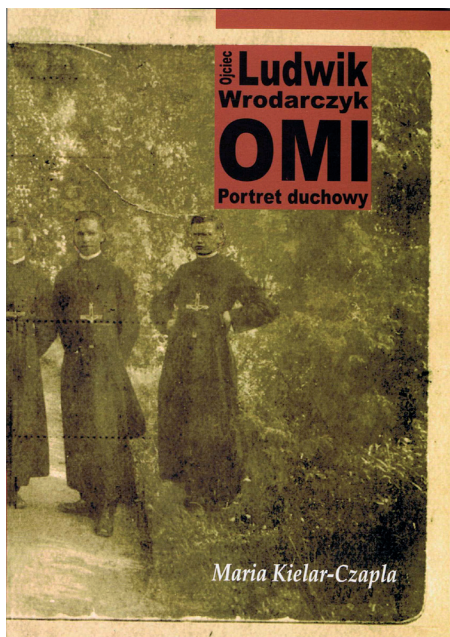
[7] Handelsman M., „Ukraińska polityka ks. Adama Czarotoryskiego przed wojną krymską”, Warszawa 1937, s. 101.



Wśród książek - Серед книжок

NIEPOSPOLITY
ŚWIADEK CHRYSTUSA

Staraniem samorządu miasta Radzionków w Archidiecezji Katowickiej, dla uczczenia 130. rocznicy poświęcenia kościoła pw. św. Wojciecha, w Wydawnictwie „Wołanie z Wołynia” ukazała się książka autorstwa Marii Kiejar-Czapli, prezentująca portret duchowy o. Ludwika Wrodarczyka, oblata, misjonarza i męczennika. Niezwykły ten kapłan jest kandydatem na ołtarze, patronem Gimnazjum w Radzionkowie, odznaczonym pośmiertnie dyplomem „Sprawiedliwy wśród narodów świata” – ukrywał Żydów i ocalał im życie. Książka jest zbeletryzowaną biografią o. Ludwika, który urodził się w Radzionkowie, a po studiach seminaryjnych sprawował posługę duszpasterską w przygranicznej wsi Okopy i sąsiednich na Wołyniu w latach 1939-1943. Zgrabnie nakreślona sylwetka Księdza pokazuje, w jakiej rodzinie i atmosferze wzrastał i jak rozwijało się jego powołanie, a potem praca duszpasterska, wielość inicjatyw i zaangażowanie społeczne. Książka oparta na dokumentach, przede wszystkim listach o. Ludwika, przybliża realia tamtych dramatycznych a zarazem tragicznych wydarzeń, które w konsekwencji doprowadziły do śmierci samego o. Ludwika i mieszkańców wspólnoty parafialnej. Ojciec Ludwik jest symbolem ludobójstwa, które miało miejsce na Wołyniu i pochłonęło kilkadziesiąt tysięcy istnień ludzkich, głównie Polaków, choć mordowano też Żydów i Ukraińców sprzyjających Polakom. Sam o. Ludwik został przetrzebiony piłą. Naśladował Jezusa – miłość drugiego człowieka nie była imitacją. O. Ludwik pokazał co w życiu jest najważniejsze. To



bardzo dobry w swojej wymowie wzór na trudne czasy obrony wiary.

Ryszard Hubicki

[„Źródło” nr 3 (1099)
z 20 stycznia 2013 r., s. 29.]

Maria Kiejar-Czapla, „Ojciec Ludwik Wrodarczyk OMI. Portret duchowy”, Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia” 2012.



Do 900. lecia śmierci kniazia Michała Świętopelka

- До 900-ліття смерті князя Михайла Святополка

„POWIEŚĆ MINIONYCH LAT”

O POZĄTKACH PANOWANIA WŁODZIMIERZA MONOMACHA

A zmarł prawowierny kniaz Michał, zwany Światopelkiem, miesiąca kwietnia 16 dnia [1113 r.], za Wyszogrodem, i przywieźli go w łodzi do Kijowa, i ubrali ciało jego, i włożyli na sanie. I płakali po nim bojarzy i drużyna jego wszystka, śpiewając nad nim nabożne pieśni, i położyli w cerkwi Świętego Michała, którą był sam zbudował. Kniahini zaś jego rozdzieliła mnogie bogactwa monasterom i popom, i ubogim, że aż dziwili się wszyscy ludzie, gdyż takiej jałmużny nikt nie może czynić.

Nazajutrz zaś, 17 dnia, radę urządził Kijowianie, posłali do Włodzimierza [Monomacha], mówiąc: „Pójdź, kniazciu, na stolec ojcowy i dziadowy”. To słysząc Włodzimierz płakał bardzo i nie poszedł, smucąc się po bracie. Kijowianie zaś rozgrabili dwór Putiaty tysiącznika, poszli na Żydów rozgrabili ich. I posłali znów Kijowianie do Włodzimierza, mówiąc: „Pójdź, kniazciu, do Kijowa; jeśli zaś nie pójdiesz, to wiedz, że wiele złego stanie się, toć nie tylko Putiaty dwór czy setników lecz i Żydów grabią, i jeszcze pójdą na bratową twoją i na bojarów, i na monaster, i będziesz odpowiadał, kniazciu, jeśli i monaster rozgrabią”. To słysząc, Włodzimierz poszedł do Kijowa.

Włodzimierz Monomach siadł w Kijowie w niedzielę. Spotkali zaś go metropolita Nikifor z biskupami i ze wszystkimi Kijowianami ze czcią wielką. Siadł na stolcu ojca swojego i dziadów swoich, i



Wielki Książę Świętopelk II Michał

wszyscy ludzie radzi byli, i bunt uciszył się. Połowcy zaś, usłyszawszy o śmierci Światopelkowej, zebrali się i przyszli nad Wyr. Włodzimierz zaś, zebrawszy synów swoich i synowców, poszedł ku Wyrowi i połączył się z Olegiem, Połowcy zaś zbiegli. Tegoż roku posadził syna swego Światosława w Perejasławcu, a Wiaczesława w Smoleńsku.

[„Powieść minionych lat”, oprac. F. Sieclicki, Wrocław – Warszawa – Kraków 1999, s. 232-233.]

Biskupi łuccy - Луцькі єпископи

ALEKSANDER BENEDYKT WYHOWSKI 1703 – 1714



Portret bpa Aleksandra Wyhowskiego
Fot. Wikimedia Commons

Aleksander Benedykt Wyhowski urodził się rzekomo w r. 1649 (wszakże ochrzczony został dopiero 15 marca 1652 – według rachuby kalendarza juliańskiego) na Zamojszczyźnie z obojga rodziców wyznania prawosławnego. Jego ród (herbu Abdank) wywodzi się z Wyhowa w dawnym powiecie kijowskim, skąd wszakże pisane się kilka rodzin bojarских. W XVII stuleciu różni Wyhowscy (zwykle prawosławni lub unicy) zamiesz-

kiwali województwa kijowskie, podlaskie, podolskie i wołyńskie. W dziejach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów największą sławę zyskał Jan Wyhowski († 1664), hetman Kozacczyzny po Bohdanie Chmielnickim, współautor tzw. ugody hadziackiej z r. 1658 i w latach 1659-1664 wojewoda kijowski z ustanowienia króla Jana II Kazimierza, ostatecznie wszakże uwięziony i rozstrzelany z wyroku sądu wojennego. Z kolei współczesny Aleksandrowi Benedyktowi, jakkolwiek zdaje się nieco od niego młodszy, był Józef Wyhowski († 1730) – wprawdzie rzekomo prawosławny władca mścisławski, a następnie – po przystąpieniu do jedności z Kościołem katolickim – unicki biskup łucki, uczestnik ważnego dla dziejów Kościoła grekokatolickiego synodu zamojskiego z r. 1720. W tym samym czasie żyli również Eustachy, Jan i Stefan Wyhowscy, sprawujący przez krótko (oczywiście każdy w innym okresie) urząd cześników żydaczowskich. Trudno wszakże stwierdzić, czy wszyscy tu wymienieni faktycznie należeli do jednej rodziny.

O latach młodości i etapach kształcenia późniejszego katolickiego biskupa Łucka nie sposób, przy obecnym stanie wiedzy, cokolwiek powiedzieć. W bliżej nie znanym momencie porzucił on prawosławie i przeszedł na katolicyzm, co zapewne związane też było z decyzją o obiorze stanu duchownego. W ciągu jednego roku 1681 przyjął on tonsurę i niższe święcenia, a następnie trzy święcenia wyższe (subdiakoniat, diakonat i prezbiterat). Wtedy także uzyskał prałaturę

kantora kijowskiej kapituły katedralnej, blisko związany z dworem królewskim za Jana III Sobieskiego, dzięki poparciu tego monarchy uzyskał z kolei kanonikaty katedralne w Płocku i Włocławku. Ówże władca, na zaledwie trzy miesiące przed swoją śmiercią, mianował go w marcu 1696 r. referendarzem duchownym Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Od początku panowania Augusta II Wettyna zaliczał się Aleksander Benedykt Wyhowski do stronników obranego w czerwcu 1697 r. na tron polski Sasa. Miał też przysłużyć mu się w istotny sposób, podstępnie dobywając potrzebnych dla dopełnienia koronacji regaliów ze skarbcza koronnego, przed wydaniem których Wętynowi wzbraniłi się kustosz katedralny i burgrabia krakowski (wszak królem ogłoszony został także książę de Conti). Za tę i inne przysługi, tudzież okazywaną werność, August II postanowił wywdzięczyć się Wyhowskiemu wyniesieniem go do godności biskupiej.

Nominacji na wakujące po śmierci Franciszka Prażmowskiego († 3 września 1701) biskupstwo łuckie udzielił mu król dnia 9 września 1701. Desygnował go zresztą na tę godność już kilka miesięcy wcześniej, 30 maja 1701, zapewne spodziewając się rychłego zgonu ciężko chorego biskupa Prażmowskiego. Nominacja ta wszakże nie spotkała się z dobrym przyjęciem tak wśród elit politycznych Rzeczypospolitej, jak tym bardziej w kręgach kościelnych. Nie cieszył się zresztą Wyhowski wśród siebie współczesnych zbyt dobrą opinią, w zakresie prowadzenia się i przestrzegania dobrych obyczajów. Wszystko to brano pod uwagę w Kurii rzymskiej, mimo więc upływu wielu miesięcy prekonizacja nie następowała. Król w przedmiocie promocji swego protegowanego na biskupstwo ustąpić nie chciał, by jednak umożliwić znalezienie w tej sytuacji honorowego dla

wszystkich stron wyjścia, w lipcu 1703 cofnął udzieloną wcześniej Wyhowskiemu nominację na biskupstwo łuckie, od razu jednak postulował go z kolei na biskupstwo smoleńskie (4 lipca ?), którego pasterzem był wówczas poważnie już chory Eustachy Kazimierz Kotowicz (faktycznie w kilka miesięcy później zmarł – 21 marca 1704). Nieoczekiwanie wszakże papież Klemens XI, wobec podejmowanych nieustannie ze strony dyplomacji królewskiej zabiegów, ostatecznie udzielił 1 października 1703 Wyhowskiemu oczekiwanej od ponad dwóch lat prekonizacji na biskupstwo łuckie, dyspensował go przy tym od posiadania stopnia naukowego, a równocześnie zobowiązał do szczególnej troski w powierzonej mu diecezji o seminarium duchowne, do którego zreorganizowania miał przystąpić, jak też do odnowienia kurii biskupiej i erylowania tzw. banków pobożnych. Konsekracja biskupa Aleksandra Benedykta Wyhowskiego odbyła się w niedzielę 18 listopada 1703 w kolegiacie św. Jana Chrzciciela w Warszawie, a dokonał jej ordynariusz poznański Michał Stanisław Święcicki (poprzednio biskup kijowski) wspólnie z sufraganami gnieźnieńskim (a niegdyś łuckim) Stefanem Antonim Mdzewskim i przemyskim Pawłem Konstantym Dubrawskim – dotychczasowym administratorem (wikariuszem kapitulnym) diecezji łuckiej w okresie przedłużającego się wakatu, a zarazem dziekanem kapituły katedralnej w Łucku. Natomiast w r. 1707 doszła Wyhowskiemu z łaski króla godność komendatoryjnego opata benedyktynów sieciechowskich.

Choć nie cieszył się u współczesnych zbyt dobrą reputacją, jednak w dziejach powierzonego sobie biskupstwa zapisał się Aleksander Benedykt Wyhowski niejednym ważnym dokonaniem i z tej chociażby racji trudno jego pontyfikat oceniać negatywnie. Już w r. 1703 pasterz ten

erygował w kapitule katedralnej w Łucku nową prałaturę kanclerza, którego uposażenie stanowić miała dotychczasowa prebenda kaznodziei. W rok później (1704) ustanowił on z kolei przy archidiakonii janowsko-brzeskiej wikariat wieczysty. Szczególnie doniosłym dziełem biskupa Wyhowskiego było erygowanie 21 września 1711 trzeciego już z kolei w granicach biskupstwa seminarium diecezjalnego z siedzibą w Węgrowie, w czym wychodził naprzeciw wspomnianemu poleceniu namiestnika Chrystusowego. Główne seminarium, utworzone w r. 1685 w Janowie Podlaskim przez Jana Stanisława Witwickego, w krótkim czasie przeniosło swą siedzibę do Łosic, skąd na miejsce swej pierwotnej lokalizacji powróciło dopiero w r. 1721. Drugie funkcjonowało jeszcze od r. 1638 w Olyce, a swoje powstanie zawdzięczało ono zmarłemu pod koniec r. 1631 sufraganowi łuckiemu Franciszkowi Zająskiemu, który na ten właśnie cel zapisał w ostatniej woli znaczne środki. Omawiane seminarium węgrowskie było fundacją z kolei wojewody płockiego Jana Bonawentury Krasińskiego z 14 września 1711, zatwierdzoną w tydzień później przez ordynariusza. Biskup Wyhowski powierzył je wówczas zgromadzeniu bartolomitów (bartoszków, komunistów). On sam też fundował czwarte seminarium (29 października 1713), mające siedzibę w stolicy diecezji. Początkowo przewidziane tylko na czterech kleryków (podczas gdy węgrowskie na sześciu), w latach 80. XVIII w. było instytutem teologicznym w którym formację odbywało już dziesięciu alumnów. O jego uposażeniu zatroszczył się fundator-biskup Wyhowski. W późniejszych dziesięcioleciach powstały jeszcze dwa seminaria diecezjalne – w Brześciu nad Bugiem (1726) i w Tykocinie (1769), oraz odrębne seminarium księży bartolomitów w Karolinie na przedmie-

ściach Pińska (1726). W r. 1709 Aleksander Benedykt Wyhowski wyjednał u Stolicy Apostolskiej godność infułata dla prepozyta z Kodnia. Sam zresztą bawił w tych latach z wizytą w Rzymie (prawdopodobnie w r. 1707), opuszczając na pewien czas ogarnięte działaniami wielkiej wojny północnej ziemie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W ostatnich miesiącach życia przystąpił łucki ordynariusz do budowy nowej kolegiaty w Janowie Podlaskim (1714), która ukończona została dopiero w r. 1728 przez jego drugiego z kolei następcę – biskupa Stefana Bogusława Rupniewskiego.

Zmarł Aleksander Benedykt Wyhowski 28 grudnia 1714 w Torczynie, przeżywszy prawdopodobnie 65 lat. Pochowany został w podziemiach katedry Przenajświętszej Trójcy w Łucku. Po jego śmierci wikariuszem kapitulnym (administratorem) diecezji wybrany został ówczesny dziekan kapituły katedralnej ks. Konstantyn Kaszowski. Sufraganem Aleksandra Benedykta Wyhowskiego przez cały okres jego rządów pasterskich w biskupstwie łuckim był prekonizowany jeszcze 10 maja 1700 Adam Franciszek Rostkowski († 1738), tytulariusz Philadelphii.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 128-131.]

